KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Do Panny Zofii Rosengardt.

Fontainebleau, 6. grudnia 1844 r.

Od wyjazdu z Paryża nie miałem, duszko, ani jednej, co się nazywa, wolnej chwilki. Ciągle u nas ktoś gości. Naprzód z kochanym Artiurem przegawędziliśmy u siebie i po sąsiadach kilka dni, aż zjawił się znów X. Semenenko, a więc i z nim też same korowody. Dopiero od godziny obejrzałem się po staremu, swobodny w swojem pustkowiu i zasiadam zaraz do stolika, aby pozdrowić swoją siostrzyczkę, aby choć słówkiem zdaleka popieścić biedną, osamotnioną gołąbkę. Zośko najmilsza . . . . . w tej chwili buchnęła pierś gorącem, rzewnem uczuciem na przestrzeń i stał się cud. Widzę, oj widzę Zośkę w jej wąskim pokoiku i słyszę luby, słodki. niewolący gwar z pod paluszków, że aż zamróz około serca mego taje. Boże zapłać, Boże pomóż, duszko. graj mi tam, graj w swoje. Niechaj ci praca umila twój żywot sierocy, niechaj ucisza fale, co miotają w młodziuchnem serduszku. Pokój tobie, siostro, pokój i błogie ukołysanie w objęciu twego anioła stróża. Och! i ja, moja droga, radbym z duszy uspokoić się po długoletnich biedach, uspokoić się w pracy. Ale czarodziejka moja dawno mnie odbiegła, darmo ją nawołuję miłośnie, nie wraca i bodaj nigdy już nie wróci. Święć się wolo Boża! Wszakże mam wolę zająć się czem bądź, bo jak to będzie z próżnemi rękoma stanąć kiedyś wobec Pana? Oj źle, źle ze mną, Zośko! Różne a różne plany snują mi się po głowie i byle cokolwiek ociepłało w sercu, wezmę się za nie oburącz . . . . . . Ciągle myślę o przeniesieniu się do Paryża. Nie łatwo to będzie dla

rozlicznych powodów, a nadewszystko żal mi cichego, samotnego kątka, w którym tyle dni przeżyłem pobożnie, że stał mi się jakby kątek własny. Nawłóczyłem się w tych latach do sytu, to chciałbym już osieść kamieniem. Wszędzie nam cudzo, pusto, nijako, to nie warto zmieniać miejsca. Paryżem brzydzę się, ale tam siostrzyczka moja, to i Paryż miły. Po tylu latach nudów i tęsknoty na cudzej ziemi, Bóg ciebie mi dał, chwała Mu, chwała; oj, żeby nam już razem wracać do Polski, na Ukrainę.

Bądź zdrowa i t. d.

Bohdan.

A nie zapomnij przysłać mi adresu Chopina. Co też za zima tego roku. Zupełnie a zupełnie jak u nas. Nie mogę się nacieszyć w lesie pozorem ojczystym. Ziemia i drzewa w śniegu, a stawy lśnią się lodem. Tyleż bo naszego.

Do Pana Jana Koźmiana.

Fontainebleau, 12. grudnia 1844 r.

Kochany Janie! W tej chwili przysłał mi ksiądz Hieronim list od ciebie, pisze, że mu go wręczył mój krewny, nie wiem, czy Karol [1]), czy też może przyjechał Ludwik [2]) z Berlina? Utęskniam bardzo zapoznać się z Ludwikiem, bo ile sądzić mogę z pisma, zdaje się, chłopiec pełen zapału i najpiękniejszych uczuć. Z Karolem nie tak jest źle, jak myślisz. Na razie oczarował go był Adam, rozpalił ku rzeczom duchowo-mistycznym, ale powoli ochłonął i widziałem go niedawno całkiem już wytrzeźwionego, a nawet w zaciętym sporze z mistrzem i kilkoma sektarzami. Owszem upamiętał kilku młodych, którzy na oślep i dla samego tylko imienia wieszcza chcieli się rzucić w sektarstwo. List do C... pisany był po pierwszych rozmowach z Adamem, kiedy wykładał jeno ogólnie naukę swoją z całym, jak wiesz, blaskiem geniusza i w arcydowcipnych parabolach. Później rozbiło się wszystko w szczegółach. Urok zniknął, kiedy posłyszał różne zdania sekty o Polsce, o szlachcie i t. p. Opowiadał mi Karol od deski do deski rozmowy swoje z Adamem. Niemal słowo w słowo to samo, co mnie kiedyś prawił. Stanęło na tem, że się pokwasili nieco nawzajem, i Karol obiecał mi

---

[1]) Karol Zaleski z Pustowarni.
[2]) Ludwik Jankowski, krewny Bohdana.

całkiem zaniechać dalszych konferencyi. To się działo temu tydzień. Od tego czasu wątpię, iżby co zaszło nowego. Wszakże napiszę do Karola z ostrzeżeniem.

Wczoraj wyjechał stąd do Paryża ksiądz Piotr. Widzisz tedy, że prawie wszyscy nasi młodzi księża zebrali się do kupy. Korzystamy z tej przygodnej a może i opatrznej sposobności, ażeby się nawzajem o najważniejszych porozumieć rzeczach. Naradzamy się często pod wezwaniem Ducha św. i nie wątpimy wcale, że coś pożytecznego pozwoli nam Bóg dokonać. Chcemy ku większemu pospolitemu dobruześrodkować jakoś pojedyncze myśli i luźne działania. Ilu nas jest szczerych katolików w Paryżu i w emigracyi, podajem sobie ręce, aby przy nadchodzących okolicznościach stanąć jawnie na świadectwo prawdzie. Rzecz dopiero w zawiązku i trudno o niej pisać zwyczajną drogą. Znajdziem kogoś stąd, co ci ustnie wszystko objaśni. Tymczasem pomódl się na spólną intencyę.

Smutne, smutne, kochany Janie, wszystkie te twoje nowiny. Nie brakuje nam podobnych i skądinąd. Chmurno i duszno wszędzie, jak przed trzęsieniem ziemi. Serce ustawicznie w kręgach, to coś prorokuje nielada. Pan może tuż, tuż. On sam pojednać zdoła zwaśnione żywioły, rozbrat rozumu z sercem, serca i rozumu z wiarą. On ześle dopiero Ducha, bo ten, za którym uganiamy tu prorocy i nieprorocy, coś arcyniebezpieczny, jak ów, co kusił Hamleta, i niewidomy też nikomu, chyba naszym Hamletom. Ufajmy, Janie, Pan Bóg złe przeinaczy, tak mi błogo z tą wiarą, jakby już umykał się czas, a otwierała się wieczność.

Teraz rozumiem już wyjaśnienie, plan i zamiar Przeglądu. Szczęść wam Boże! — powtarzam z duszy, serca i powtórzę jeszcze w modlitwie. Nie spodziewam się jednak w Księstwie świetnego powodzenia dla waszego dziennika. W żadnym kącie szerokiej Polski nie znajdziesz takich srodze znarowionych umysłów, a tu głównie z nimi sprawe. Toż to uderzą we wszystkie dzwony na gwałt. Z tem wszystkiem nie grozi stamtąd wielkie niebezpieczeństwo dla bytu waszego dziecka, lękam się, aby je nie udusili samiż piastuni. Katolicy w Księstwie podobno wielcy panowie, z wyłącznemi wyobrażeniami o rzeczach tego świata, to niedobrze, a nawet arcyszkodliwie. Z drugiej strony lękam się, aby cię nie zawiedli spółpracownicy. Na paryskich przynajmniej niewiele polegaj. Ksiądz Piotr nie zaczął jeszcze o Giobertim, przemyśla dopiero, mocuje się z terminami filozoficznymi, a nie czytał jeszcze ani Trentowskiego, ani Libelta. Nie ufam zgoła w jego styl. Napomykał mi Szymański, że ma dla ciebie parę rozprawek o ekonomii i rozbiór Cyprien Robert'a.

Szymański widocznie się kształci, ale nie cieszy mnie, że umiłował Robert'a, który właściwie jest blagueur paryski, a do tego już i nie katolik. Liznął coś słowiańszczyzny i zaraz wymarzył ogromne systema. Z tem wszystkiem o książce Roberta coś umieścić potrzeba w Przeglądzie, bo kwestya słowiańska dziś wszędzie na stole. Żeby to Sienkiewicz rozpisał się w tej materyi, którą zna, jak może nikt w Polsce. Będę go napędzał, a nawet zagrożę wznowieniem sporu publicznie o politykę Szafarzyka, której nie cierpi, bo republikańska. Cobym ja ci posłał? Nie wiem, ale zawsze postaram się wygotować coś wierszami, a w najgorszym razie prozą. Teraz trawi mnie i trapi oschłość, wstręt poetycki ku wszystkiemu, co się nazywa literaturą. Mam przytem różnego rodzaju roztargnienia i gorzej niż roztargnienia, bo niesmaki, ale na co to już i pisać? Wybieram się do Paryża na parę miesięcy zimowych, takoż wbrew ochocie i możności. Skoro się nieco ożywię, zasiądę zaraz do uiszczenia się tobie z obietnicy.

Brakuje mi wiele, wiele książek, a radbym i ja coś powiedzieć o rzeczach słowiańskich, a przynajmniej o nowo rodzącej się literaturze rusko-ukraińskiej, zwłaszcza że mnie Moskal Dubrawski, Kozak Wicherski i insi wyzwali niejako na rekę. Czy nie ma w Berlinie warszawskiej edycyi Padury? A może kto tam przywiózł z młodzieży naszej poemata Srebrnego, Grabianki i t. p.? Poprostu, Jasiu, skonfiskuj na rzecz moją i dobra pospolitego. Za każdą taką książkę zapłacę artykułem do Przeglądu swoim albo cudzym. Stymuluję, podżegam oto, jako mogę, gorliwość twoją redaktorską, a i bez tego wiem, że rad będziesz mi w czem dogodzić, bo znam i doznałem już nieraz twego braterskiego serca. Reszta na jutro.

Otóż nie wiem doprawdy co począć? X. Hieronim swoim lakonicznym przypiskiem nabawił mnie kłopotu. Dłużny jestem L. Jankowskiemu odpowiedź na list, a myślę wciąż przytem, że to przez niego pisałeś do nas. Rad nie rad muszę doczekiwać się z Paryża objaśnienia rzeczy. A ciężko mi na sercu, bo Ludwik to żywy głos z domu! Tymczasem, jeśli jest w Berlinie, pozdrów go najczulej odemnie i powiedz, że utęskniam niewypowiedzianie do serdeczniejszej, ukraińskiej z nim pogadanki. Coby ci donieść stąd? Rocznica listopadowa odbyła się tego roku wcale przyzwoicie. Na wieczornem jeno zgromadzeniu zgorszył niepomału braci głos księdza starego, piorunującego na Jezuitów i Zmartwychwstańców. Mowa księcia Adama podobała się powszechnie, zaniechał w niej oklepaną od tylu lat formę, a zanurzył się głębiej w swego ducha; toż zaraz wytrysnęły świeższe myśli i goretsze uczucia. Towiańszczyki świe-

cili ten dzień głucho i niemo; ani w kościele, ani na żadnem zebraniu nie pokazali się braciom. Adam, słyszę, arcyrozjątrzony na emigracyę; że nie usłuchała Mistrza. Kursu w tem półroczu nie będzie, zdaje się, że Villemain skłonił do tego profesora. Drukuje się jednak po francusku kurs przeszło i zaprzeszłoroczny.

Kazania księdza Józefa zyskały wielką wziętość w emigracyi. Ja sądzę, że świątobliwa postać mowcy, toż prostota w wysłowieniu niepomału się do tego przyczyniły. X. Hieronim jednak zawsze pierwszeństwo ma w zawodzie kaznodziejskim, widocznie rośnie nam, rzadko, bardzo rzadko wpada już w ton deklamatorski. A podziwiamy tu wszyscy niezmordowaną czynność i gorliwość księdza Hipolita: wyjeżdża w tych czasach na missyę po zakładach. Ksiądz Edward lepiej się ma na zdrowiu i podobno wyruszy wkrótce na służbę do Paryża. Z Artiurem Kościelskim przeżyłem razem kilkanaście dni w Paryżu i tu w Fontainebleau. Niesłychanie tęsknił do Włoch i zapewnie już wyjechał ku Marsylii z Aleksandrem Potockim. Zdaje się, że wyczerpałem wszystkie potoczne stąd nowinki. W Paryżu na bruku zwykle ich krąży więcej, ale tu do lasu przychodzą za późno. Zawsze, kochany Janie, donoś nam po staremu, co zasłyszysz z kraju wieści, bo tam twoje są inszego dla nas interesu i wagi.

Pozdrawiam i t. d.

Bohdan Zaleski.

Raz na zawsze łączę ukłony dla Celińskiego. Nie jesteśmy już sobie nieznajomi, ani cudzy. Mniejsza o to, czy spotkamy się w czasie, kiedyśmy się pobratali w przestrzeni. Kto wie jednak, czy na wiosnę nie zetkniemy się gdzie w Niemczech lub w Szwajcaryi? Podziękuj mu najuprzejmiej, że przytulił mego siostrzeńca. Mówił mi Kościelski o przygodzie Ludwika. Czuwajcie tam nad nim po bratersku

Nie wiem, kochany Janie, czy przed Nowym Rokiem wypadnie mi pisać do Berlina, a więc teraz przyjmij życzenia świąt i roku 1845. Szczęść Boże we wszystkiem, a daj nam uściskać się już w niepodległej a bogobojnej Polsce!

Do Pana Ludwika Jankowskiego.

Fontainebleau, 13. grudnia 1844 r.

Kilka tylko słów piszę, kochany Ludwiku, bo nie wiem, gdzie jesteś, w Berlinie czy w Paryżu? Zmylili mnie na razie z tropu

korrespondenci moi, że zniknąłeś mi z przed oczu, szczezłeś doprawdy, jak wicher w stepie. Mój miły, mój dobry siostrzanie, na darmo ci mówić, ile mnie uradował twój list. Kozaczym swoim zmysłem odgadnij, jak mi dzisiaj w sercu? Oj, upiory moje wstały z martwych; stara zapomniana dumka rozgrzewa pierś, toż tęskno mi, rzewno, a razem zacisznie i błogo. Tyś bo, Ludwiku, głos z domu, głos od żywych i umarłych, od stepów i Dniepru, od horodyszcz i mogił, głos wszystkiego, co tam było, a kto wie? może i tego co będzie, bo moc Boża wielka w słabym człowieku, ducha prorockiego daje miłości jego. Kto kocha, widzi! Ogarniam cię w tej miłości, otulam w oboje ramiona z rozczuleniem. Witaj mi, serdeczny spółziemlaku, krwi moja, krwi moja własna.

Nasamprzód przesyłam ci, Ludwiku, błogosławieństwo wuja-tułacza, błogosławieństwo w Panu zupełne i na żywot cały. A zostań mi samym sobą, jakim jesteś w liście swoim, to jest, jakim cię wyhodowała Matka Ukraina. Zostań na zawsze duszą płonącą ku Bogu, ku Polsce, ku wszystkiemu, co wielkie, dobre, piękne. Nie zatrać na czole tego szlachetnego piętna szczerości i prostoty, z którem ci tak do twarzy. Świt oj łukawy woroh! ale nie daj mu się zawojować. Na tożeż my sia na Ukraini porodyły? Przeciw światu mamy krzyż Pański i mamy czary swoje domowe. W modlitwie a w dumce utul się pod nawałem następujących ułud i pokus. Bądź mężem, naślednikiem atamanów, co śpią po mogiłach naszych! Nadchodzi czas ku zmartwychwstaniu. Czuwajże, mój drogi! Ufam w Bogu, że świat nie zmrozi ci zapału, ani zwarzy świeżego kwiecia, którem buja a pachnie jara młodość twoja. Nie wiem, czego przyjechałeś tu nauczyć się? Nauki tego świata, tego tu zwłaszcza starego ku zachodowi świata, są arcy, arcybałamutne. Pomówimy o tem kiedyś szeroko. Teraz urywam.

Jeszcze raz błogosławię cię, mój Ludwiku, i przyciskam do miłującego bardzo łona

wuj

J. B. Zaleski.

Do księdza Hieronima Kajsiewicza w Paryżu.

Fontainebleau, 14. grudnia 1844 r.

Zmiłuj się, kochany Ojcze Hieronimie, powiedz nam, co zacz był ów mąż młody, który ci wręczył listy od Koźmiana? Piszesz, że mój krewny. Azaliż Karol Zaleski, albo też może Ludwik Jan-

kowski? Jeżeli Ludwik, to musiał ci powiedzieć, kędy się zahaczył w Paryżu i gdzie stoi kwaterą? Czekałem parę dni cierpliwie, czy się kto niè zgłosi do Fontainebleau, ale po dziś dzień ani wieści, ani słychu. Odpisałem już szeroko Jasiowi, a i on nie napisał wyraźnie, przez kogo wyprawił listy. Radbym bardzo wytropić kuzynka Jankowskiego, bo to głos z domu, od żywych i umarłych, od stepów i Dniepru, od horodyszcz i mogił i t. d. A przytem dusza niepospolita. Mój drogi Hieronimie, wywiedz mi się troskliwie o kuzynku i w skok przyślij tu jego adres.

Całym dworem wyglądamy tu cię, Ojcze, z opłatkami. Przenosiny nasze do Paryża nie łacno uskutecznim, bośmy się srodze wyiskrzyli, a tu jeszcze przeciw nam w całej potędze wystąpił Jewo Prewoschoditelstwo Generał Moroz.

Całujemy cię (wszystka bracia) i polecamy się modlitwom.

Twój

Bohdan.

Do Panny Zofii Rosengardt.

Fontainebleau, 17. grudnia 1844 r.

Pomodliłem się dopiero co za ciebie, moja droga siostro, zestroiłem się tem nieco z tobą w duszy, a teraz piszę kilka słów, ponieważ koniecznie tego wymagasz. Prawda, złota, Boża prawda, coś powiedziała w pierwszej części listu. Z rozradowaniem serdecznem i z pewnym rodzajem chluby, potakiwałem w każde słówko twoje. Tak bo niewątpliwie wszczęło się między nami bezimienne uczucie, tak się rozwijać miało, tak się poczęło i tak się sprostować znowu da. Mądrze i święcie postąpiłaś sobie, żeś się uciekła po radę wprost do Chrystusa Pana za pośrednictwem spowiednika. Co ci mówił bogobojny kapłan, toż samo miałem zawsze w sercu i nieraz w ustach, tylko nie zdołałem nigdy nakłonić woli i ustroić się w powagę do wyśpiewania całej prawdy...

Jest inszy sposób uświęcenia naszych stosunków, ale nie wolno mi o nim pomyśleć, póki chodzę w żałobie, póki chodzimy oboje w żałobie po Matce. Stan tułacki to osobny zakon Boży. Mnich ja, Zośko, sierota po wszelkiej piękności, po wszelkich pieszczotach tego świata. Tylez mego było w życiu, com przedumał gdzie w ukryciu. Jednakże na coś Bóg dał mi ciebie? Nie chcę badać Jego wyroków, jak nie badałęm, na co mi dał tamtą siostrzyczkę na Ukrainie [1]).

[1]) Dyonizya Poniatowska.

Wielka miłość i wielka boleść zawsze są ze mną, a obiedwie może największe łaski, bo wznoszą ducha, oczyszczają i otwierają wrota do nieba. Święć się woło Boża!

Nie widno już pisać, a przy świecy ani rusz nie mogę. Trzeba tedy kończyć. Do Chopina jutro napiszę. Zaklinam Zośkę, aby się nie zniechęcała do muzyki, bo w tem obraza Bogu i krzywda ludziom biedunym, których serca potrzebują czarów.

Bogu cię, siostro, polecam.

Bohdan.

Do Pani Konstancyi Tomaszewskiej.

Fontainebleau, 22. grudnia 1844 r.

W złobie leży, Któż pobieży? Kolendować Małemu: Bieżmy, bieżmy! Wszyscy razem, Szanowni nasi Państwo Józefostwo, pokłonić się Chrystusowi. Upadnijmy na kolana w pokorze i skrusze i pokajaniu, bo któż tu jest z nas, któryby Mu czemś nie przewinił. Płaczmyż za winy, a radujmy się z Narodzenia i śpiewajmy Mu gorącemi sercami chwałę; wszakże to tu w rozmiłowaniu się Swojem w nas przyszedł odkupić nas z upadków naszych i nędzy. Łammyż chleb Pański z weselem, bo miłosierny, miłujący aż do śmierci. Jeden tylko i sam jeden ma moc wyprowadzić nas z wygnania i wrócić do ziemi Ojców, czego Wam, Szanowni Państwo, i sobie razem życzymy. Bóg daj, byśmy razem na Ukrainie zaśpiewali jeszcze wesołe Alleluja!

Pełni dla Was szacunku i przyjaźni, sercom się waszym i modlitwom polecamy.

Józef Zaleski. [1]
Bohdan Zaleski.

Duszą i sercem jednoczę się do Józefowych życzeń i kolędy. Przykro mi, arcyprzykro, że nie mogę po raz trzeci jeść kuti z kochanem Państwem mojem, którzy mi jesteście najbliżsi w emigracyi, niby powinowaci, krewni, ridnia rodzina własna. Ofiaruję Bogu za grzechy tę przykrość. Wybieramy się wciąż na mieszkanie do Paryża, a są różne przeszkody, które musimy pierwej załatwić. Da Bóg, przed Nowym Rokiem ustnie złożym nasze życzenia. A teraz pozdrawiam w Bogu i ściskam w Bogu całe wasze gronko od najstarszego do najmłodszego. *Bohdan.*

---

[1]) Pisany list ręką Józefa.

Notatka.[1])

W jakim stanie zostaje dziś Kościół Pański, tudzież wiara u ludów europejskich i w Polsce? Kwestya obszerna, tem obszerniejsza, że stoi w połączeniu z kwestyą inszą, jakie jest znaczenie Polski w Słowiańszczyźnie i w Europie? Kwestyę tę dotychczas namiętnie a zatem fałszywie roztrząsano. Na swojem miejscu powiem, jak mi się to zdaje. Powiem wtedy, kiedy będę wykładał znaczenie Ukrainy względem Polski i Słowiańszczyzny.

Czy Towiańszczyzna jest niebezpieczna? Arcy, arcyniebezpieczna, niebezpieczniejsza od wszystkich herezyi razem wziętych. Ludzie dobroduszni, a krótkowidzący usypiają w złudzeniu, że jakoś to Bóg odwróci, że się Adam z Andrzejem pokłócą, że się wszyscy nakoniec znudzą i t. p., uliczne brednie. Obudzenie się tych ludzi będzie straszne. Naprzód Kościół z ustanowienia Chrystusowego jest wiecznie wojujący, a długo już spoczywa w stagnacyi, w otrętwieniu zupełnem względem ludów i królów, wina to wprawdzie nie członków, ale Głowy, że indywidua myślą raczej o zbawieniu własnem, niż o zbawieniu Kościoła. Powtóre ludzie tego hartu i geniuszu, co Adam i Andrzej i kilku innych, wiedzą doskonale, co robią i gdzie dążą: mogą się poróżnić, ale każdy z nich, a osobliwie Adam jest w stanie wzbudzić ogromną schyzmę, a jeśli na ukaranie Kościoła swego Bóg dopuści wojnę, mogą tę schyzmę intronizować w Polsce. Luter i Henryk VIII. byli to ludzie nieskończenie niżsi od naszych, a przecież protestantyzm trwa dziś w Anglii i w Niemczech, dogorywał, żeby przyjął albo katolicyzm albo syntezę Towiańszczyków: dotychczas, osobliwie w Niemczech, umysły mają się ku tej ostatniej. Straus, Fejerbach, Bruno Bauer, a w części i stary Szelling, nie wiedząc o tem, są poprzednikami naszych proroków. Synteza ich nadzwyczaj łudząca i rozumna aż do zawrotu głowy, łączy bowiem w sobie w nierozjemną całość wszystkie systemata filozofi, spirytualizm, panteizm, materyalizm, mistycyzm ze wszystkiemi ich obietnicami dla ludów, to jest z wszechwiedzą, z wolnością, z dobrym bytem i t. p., oraz z pozłotą chrześcianizmu i hierarchii katolickiej. Dzisiejszej ludzkości tego tylko trzeba, to są ostatnie cele ich cywilizacyi, jakie im oddawna literatura prorokuje. Kościoła katolickiego bramy piekielne nie przemogą, wyrzekł to sam nasz Pan i Zbawiciel. Ależ bez skłonienia wolnej woli naszej ku ratunkowi, ludzkość może strasznie i długo cierpieć. Jest w Kościele moc i są środki niepochybne na przekonanie złego: są także cudowne znaki oznaj-

[1]) Notatka bez daty.

mujące, że Pan będzie sam wodzem w tej sprawie. Ci co są na wieżach, co widzą dalej, jaśniej, powinni co rychlej uderzyć w dzwon na gwałt, a przedtem jeszcze we wszystkie dzwony bić na pokutę, nawoływać ludzi do ołtarzy, bo biada, kogo Pan zastanie gdzieindziej niż w Kościele. Z łaski Ducha św. ja niegodny i najgrzeszniejszy, modlitwami zapewnie wsparty, miałem jakby jasnowidzenie przyszłości. Biada mi, jeśli zmarnuję tę łaskę, jeśli choć jeden promyk jej uronię! A zamierzcha mi już w duszy dla wielości win moich z przeszłości, które mgłą ustawną wieją mi z głębi serca. Pamiętam jednak drogę, jaka dla rodaków moich jest przepisana. Z pustyni wszystkobym, zdaje mi się, potrafił wyśpiewać i wypowiedzieć żywem słowem.

Wyspowiadać teraz muszę grzech mój z Towiańszczykami. Wierzyłem zawżdy, nie w nowe objawienie, ale w nowe cuda i łaski Pańskie, bez których dalszy postęp dzisiejszej zgangrenowanej ludzkości zdawał mi się niepodobny. W czasie rewolucyi i na wygnaniu czułem to jeszcze żywiej niż kiedyś. Adamowi (który dla zapoznania się sam do mnie przyszedł prosto z dyliżansu i którego od razu pokochałem z całej duszy), Adamowi, pamiętam, pierwszej godziny powiedziałem, że przyjdą nowi święci i nowi prorocy. W następnych latach często mu powtarzałem swoje przeczucia, którym on potakiwał z dodatkiem, że będzie n o w e o b j a w i e n i e. Zaślepiony miłością dla niego, nie przywiązywałem wcale wagi do tych jego słów, owszem słuchałem z lubością różnych mistycznych parabol, które on ubierał w najponętniejsze barwy katolickie. Później w Molsheim, czy Endoume, przy czytaniu Ksiąg Narodu, przypomniałem sobie różne słówka i myśli, pachnące herezyą, i przeraziłem się niewymownie w duszy na kilka dni. Ależ świadectwa o Adamie ś. p. Jańskiego i braci z klasztorku były zawsze jak najlepsze, zawstydziły mnie w mojej podejrzliwości i zakazałem jej sobie raz na zawsze. Byłem także wtedy w poetyckiem zwietrzeniu się, a więc na wszystko, co się działo zewnątrz moich światów, nie chciałem i nie mogłem uważać. Tak samo było i w Fontainebleau, żyliśmy w stosunkach najserdeczniejszych. Zgodni w opiniach religijnych, zgodziliśmy się łatwo i na literackie, a w części i na polityczne. Miłość nawzajem wzmagała się, rosła niemal z dniem każdym. Moje płody poetyckie spółczuł i rozumiał jak najdoskonalej. Od nawiedzin naszych w Szwajcaryi aż do przybycia Towiańskiego, był mi prawie najmilszy między miłymi moimi. Katedra w Kollegium francuskiem nie ucieszyła mnie wcale, znałem jego wstręt do Słowiańszczyzny i przeczuwałem coś niedobrego stąd, w braterskiej

o niego trwodzę odradzałem nawet nowy ten zawód professorski, który go albo w pychę, albo w upokorzenie przywiedzie . . . .

Stefan Witwicki, Józef i ja, jako katolicy i praktykujący, byliśmy już w posiadaniu całkowitej prawdy. Dlatego przeraziliśmy się wieścią o zjawieniu się Towiańskiego. Stefan był kędyś u wód francuskich. Ja z Józefem w Beaune. List Adama z wierszykiem: „Słowiczku mój“, wprawił mnie zrazu w osłupienie, a potem w niewysłowioną trwogę, czy czasem przy chorej żonie umysłowo nie obłąkał się i sam. Co spieszniej wyruszyliśmy z Józefem do Paryża dyliżansem. W drodze drżeliśmy w sercach, widocznie targani przez Aniołów Stróżów. Nie jedliśmy, ani pili z prostracyi moralnej. Mieliśmy nawet jakoby widzenia [1]) . . . .

Józef Jeżowski.

Józefa Jeżowskiego pamiętam od lat pacholęcych, jeszcze z Humania, ale później w życiu nie spotkaliśmy się już nigdy ani razu, chociaż miałem z nim długo stosunki przyjacielskie i wiem dużo szczegółów o nim od moich najbliższych i najmilszych.

Notatka o Juliuszu Słowackim.

Z Juliuszem Słowackim zaznajomiłem się u Stefana Witwickiego w Warszawie pod jesień 1829 r. Był wtedy młodziuchny, bardzo ładny i entuzyasta. Czytał nam z ogniem swoje poezye i rękopis zostawił dla poczynienia uwag. Ja wkrótce wyjechałem na prowincyę na kilka miesięcy.

W roku 1830 widywaliśmy się z sobą często u znajomych, w ogrodach publicznych, w aleach, kędy literaci schodzili się gromadnie. Juliusz żył całkiem w świecie poetyckim, śnił jeno o wierszach. My starsi śniliśmy już o czem innem.

N o t a t k a.

Myślę, że Pan Bóg każdemu poecie daje przymioty jakiegoś ptaka. Temu orła, tamtemu słowika, owemu gołębia i t. p. Ja czuję,

---

[1]) Z notatki.

żem najpodobniejszy do skowronka. Jak skowronek, kocham się w poranku wiośnianym, wylatam w górę ku słońcu, ku jakiejś niedościgłej doskonałości. Jak skowronek, lubię bujać coraz wyżej i wyżej i spadam rychło na ziemię rodzinną, między rodzinne zboże i trawy. Jak skowronek, z natury mojej powtarzam codzień to samo, ani się zniechęcam, ani łaję na Opatrzność, rad, wesół, póki wiosny i pogody staje. Jak skowronek, w locie ukośnym, równoległym do ziemi nie jestem osobliwy i każdy ptaszek umie to lepiej. Jak skowronek, łatwo daję się oszukać wszystkiemu, co lśni, jaśnieje, jak słońce. Widziałem, jak Francuzi łowili skowronki na zwierciadło. Och! ileż razy dałem się podobnie złapać! Porównanie takowe do skowronka mógłbym rozciągnąć bez końca. W młodości mojej, nie myśląc o tem, napisałem w Harmonii:

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja bujam jak skowronek
I ja lecę pod niebiosa.

A dalej:

Duch nie zgaśnie przez skonanie
A dla ziemi — u mogiły
Kilka piórek pozostanie
Co ku niebu mnie wznosiły.

Do Pani Hrabiny Konstancyi Rzewuskiej.

Paryż, 2. lutego 1845 r.

Miła Kostuniu! Dawnośmy do ciebie nie pisali. Wiem, że w sercu swojem nie obwinisz nas o brak miłości, ale zawsze godzi się wytłómaczyć z mimowolnego uchybienia. Od Nowego Roku byliśmy długo na wyjezdnem z Fontainebleau, a od kilkunastu znowu dni wałęsamy się po Paryżu. Mówię: wałęsamy się, bo ciężko tu nam i niepodobna zadomować. To też w anty-miejskim niesmaku, ból głowy, ból zębów i t. p., biedy trapią nas obudwóch po kolei. Nie dziw się tedy, najmilsza, jeśli w takim stanie zdrowia i humoru nie bardzo jesteśmy skorzy i ochotni do pióra. Bądź, duszko, cierpliwa, a wynagrodzim, da Bóg, za dzisiejsze milczenie. Tylko ty, Kiciu, nie choruj nam. Dowiaduję się z boku, żeś w tym czasie gorzej cierpiała. Bóg z tobą, siostro! Radbym z całej duszy, na pochylone wiekiem barki moje ująć nieco z ciężaru twego,

abyś już co rychłej wyzdrowiała. Tyś taka młodziuchna! Oj, tyle i dla tylu potrzebna! Kościół Notre Dame des Victoires niedaleko od naszej gospody, to nie przestanę naprzykrzać się Matce Boskiej, aby cię nam tuliła i chowała w swojej świętej opiece. Kiciu droga, pielęgnuj się bardzo, lecz się i słuchaj lekarzy, bo mi krwawi się w sercu, ile razy pomyślę tu sobie, jaki tam na Ukrainie gwar żałośny i niepokój o ciebie, jak tam biedne zozule moje, Mamcia i Nisia szamocą się po stepie za tobą, ptaszyno błąkająca się sama jedna po świecie. I my, dwa pelikany wasze, i my nie bliżej od ciebie. Ale Bóg nasz wszędzie jest obecny. W Nim duszami na wysokości stoimy obok siebie wszyscy... Chuchamy na ciebie ciepłem tchnieniem czystej miłości i nabożeństwa, a jakżebyś nam nie odżyła? nie rozkwitła, stepowa lilijko zwarzona zawcześnie mrozem tego świata! Bóg z tobą! Ufam w miłosierdzie Jego, że podniesiesz się rychło na nogi, a ku wiośnie, jak ociepleje, jak złączym się już w Panu, i nachuchamy wprost na serduszko, będzie ci jeszcze lepiej. Oj, nie pożalisz się, Kiciu, na miłość naszą.

Rozstrojony jestem całkiem na gościnach tu moich w stolicy. Strasznie, Kiciu, zdziczałem, anim podobny do tego, co znałaś we Włoszech. Nie stworzył bo mnie Bóg na mieszczucha. Paryż, jak wielki, jak huczny i świetny, nie inspiruje mnie, ani nawet bawi: owszem odurza, zasępia; a co gorzej, wprawia w stan chorobliwy zarazem duszę i ciało. Wyraźnie tchu mi tu brakuje. Ja Słowianin, Ukrainiec, kość z kości ojców, to potrzebuję przestronno żyć, hej na zielonym stepie i pod sinem niebem. A dla serca? och! dla serca potrzeba mi domu, domu, domu, uczuć domowych, których nie znałem nigdy i za któremi w tęsknocie starzeję się oto i zamrę niedługo. Nie dziwcie się więc, że rozmiłowałem się w tęsknej ukraińskiej Dumie: że lubuję stale w pamiątkach z lat inszych, niestety minionych niepowrotnie. Chwilki, com przeżył z moimi, to jest z wami, Kiciu, tam wszystkiemi, co płaczecie nad Bohem, Dnieprem, Rosią i Rosawą, chwilki te jak perły swoje, ponizane na różaniec, liczę rano i wieczór, liczę niemal ustawnie na pacierze Panu. Wysycha już źródło łez, stygnie modlitwa, ale dopóki tchu w łonie, nie wypuszczę z rąk ani na chwilę swego różańca. Na co ci ja piszę o tem? Ułomność i grzech. W listach do kochanych ze starego nałogu zwykle zapominam się i postrzegam się dopiero po niewczasie. Powinienem jeno wciąż powtarzać: święć się wolo Boża! albo otrzej łzy i dalej, dalej!

Kiedyż bo, Kiciu najmilsza, ani sposób wymyśleć mi w tym Paryżu coś wesołego. Okna moje wychodzą na Palais-Royal i widzę

tłumy w maskach i bez masek, goniących gdzieś za *Boeuf Gras*. Paryż oto szaleje, karnawałuje w najlepsze, a tysiące ludzi cierpią, jęczą w grubej żałobie, to modlą się w Notre Dame. Expiacya i rozpusta na dwóch szalach ważą gniew Boski i miłosierdzie. Biada miastu, jeśli zło przeważy! Ale dajmy pokój płaczącym i szalejącym, Bóg niechaj ich sądzi! . . . .

Nie mam dziś ochoty i humoru pisać do X..., X..., a nawet jużbym nie zdążył wygotować listów do wieczora. Wolę więc wyprawić ten przynajmniej list. Ludwik i Antoni tak serdecznie i gorąco rzucili się w moje objęcia, że godzi się im wzajemnością wypłacić. Otóż czuję się dziś znużony, słaby, nie mam na zawołanie zapału, jak młodzi. A radbym tchnąć na nich zdrowiem, życiem. Jutro, pojutrze, skoro wytchnę po bolu zębów i ożywię się na siłach, odpiszę im wszystkim trzem. Tymczasem posyłam najserdeczniejsze pozdrowienia...

Kiciu, duszko droga, co jeno będziesz miała wieści z domu, niezwłocznie podziel się z nami. Tyle bo naszego na świecie. My żyjem z wami. Jak się mają jedynaczki nasze: Mamcia, Nisia i Junka?

Całuję w obiedwie rączki i błogosławię z całego serca ciebie i Marylkę. Łaska Pańska tobie i pokój, i zdrowie i wszystko dobre!

Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA MALARSTWA
NA PÓŁNOCY I W HISZPANII.

(Ciąg dalszy).

II.

Malarstwo niederlandzkie XV. wieku.

Wynalazek farb olejnych zapewnił nagle malarstwu na drzewie pierwszeństwo nad rzeźbą, znów najpierw w Niederlandach tylko, potem na całej Północy. Czyniono w tej mierze zapewne już oddawna próby; prawdą jest jednak niezawodnie, że Hubert Van Eyk, złotnik i malarz z Bruggii we Flandryi, dokonał tego wynalazku, on bowiem pierwszy zaczął obrazy na drzewie olejnemi farbami malować, a sprawił tem samem ogromny przewrót w sztuce. Farby olejne równie soczyste, jak wodne, do wykonywania miniatur po rękopisach używane, posiadają nierównie większy połysk, u Van Eyka miały polysk złotniczej emalii; postacie tedy, temi farbami wykonane, mogły w kościele własnem światłem jaśnieć, były widniejsze prawie i wyraźniejsze od postaci rzeźbionych, a oku sprawiały taką samą a może większą radość od barwnego witrażu, wyobrażając przytem to, co wyobrazić miały, w sposób nierównie doskonalszy. Górowały prócz tego nad rzeźbą tem, że mogły wyobrażać postacie na drugim i trzecim planie, że mogły je przenieść na tło krajobrazów albo architektury, oświecić urozmaiconem, malowanem światłem, przyoblec w rozmaite substelnie malowane, a w razie potrzeby misternie przeźroczyste materye, przenosząc na duży obraz cały czar winyet dotychczasowych. A że Hubert Van Eyk był po prostu pierwszorzędnym geniuszem artystycznym, przeto stworzył od razu postacie pełniejsze i silniejsze, krajobrazy bardziej urocze i łudne od tych, które widywano po rękopisach.

Poprzedzające a zagubione dzieła musiały już zapewnić wziętość mistrza i zdobyć dla niego rozgłos — w Bruggii na razie tylko i w pobliskich flamandzkich miastach; ale tych dzieł nie znamy; wiemy tylko, że Hubert był już starszym człowiekiem w r. 1425, w roku pamiętnym, w którym także we Włoszech młody Massaccio rozpoczął dobę właściwego odrodzenia, malując swoje arcydzieła, u Karmelitów we Florencyi, na ścianach kaplicy Brancacci; w tym to samym roku tworzono w Gandawie, w kościele świętego Bawona wielki ołtarz, już nie rzeźbiony a malowany olejnemi farbami, ręką Huberta Van Eyka, z pomocą brata o dwadzieścia lat młodszego Jana. A było to takie arcydzieło, że grzechem było ćmić cudną harmonię barw obrazu, rzucając na nie przyćmione światło kolorowych okien. Jednym zamachem zepchnął Van Eyk rzeźbę z niederlandzkich ołtarzy, skazał witraże lśniące na — czasową przynajmniej zagładę, a tem samem pozbawił gotyk mistycznego uroku i utorował na Północy drogę dla włoskiego renesansu.

Ołtarz gandawski był ogromnym tryptykiem, którego każda część z kilku obrazów się składała; był podobnie, jak współczesne freski toskańskie, wielką księgą, w której się wierni wielu rzeczy naczytać mogli, ku zbudowaniu i pouczeniu. Pośrodku widniały na trzech obrazach wielkie, w naturalnych rozmiarach wykonane postacie Chrystusa, Bogarodzicy i świętego Jana Chrzciciela; u stóp ich odmalowano na osobnej desce adoracyę Baranka; na skrzydłach tryptyku odmalowano znów w naturalnych rozmiarach chóry anielskie, a dalej na dwu osobnych deszczółkach Adama i Ewę, ojca rodu ludzkiego na skrajnej lewicy, matkę na skrajnej prawicy całej wielkiej kompozycyi. A znów pod stopami wielkich postaci ciągnęły się na prawo i lewo od adoracyi Baranka procesye pielgrzymów, na czterech odmalowane obrazach; u góry wielkie postacie występują jeszcze na złotem tle; u dołu roje postaci mniejszych jawią się wśród zielonych krajobrazów, pod błękitnem niebem.

Gdy podwoje tryptyku zamkniesz, ujrzysz po środku Zwiastowanie, u dołu malowane na szaro wyobrażenie posągów kamiennych obydwu świętych Janów, Chrzciciela i Ewanielisty; obok klęczące postacie dwojga małżonków Jodoka i Elżbiety Vydów, którzy ołtarz fundowali; powyżej, u samej góry jeszcze cztery obrazy z wizerunkiem proroków i sybil w strojach współczesnych malarzowi. To wszystko, choć wybrednie malowane, jest dalekie od wspaniałości barw odświętnej tryptyku strony.

Całość ołtarza składała się tedy z dwudziestu dwu obrazów bardzo rozmaitej treści; a choć nie znamy na pewne innych dzieł

Huberta, tych dwadzieścia dwa obrazów wystarcza, aby nas przekonać nietylko o potędze, ale także o wszechstronności wielkiego na prawdę mistrza. Wszystko przeniesiono z rozkazu Napoleona I. do Paryża, a gdy w roku piętnastym oddawano arcydzieła sztuki pierwotnym właścicielom, tylko środkowa część tryptyku wróciła na swoje dawne miejsce; skrzydła zastąpiono tu kopiami, wykonanemi w szesnastym wieku przez Flamanda Van Coxie; większa część skrzydeł oparła się o Berlin i stanowi tam główną ozdobę starego Muzeum, postacie pierwszych rodziców zostały w galeryi brukselskiej.

W kościele świętego Bawona w Gandawie zasiada tedy dotąd w majestacie Chrystus, odmalowany wedle starodawnego rytuału między Matką a poprzednikiem, równającym dłań drogi. Wszyscy trzej na tronach siedzą w kapłańskich, czy królewskich ornatach; mają płaszcze szafirowe, malowane najwspanialszą ultramaryną, jaśniejącą jak szafiry a złotem bramowane; pod nimi, na piersi prawie tylko widne szaty czerwone czerwienią rubinów. Na głowie Chrystusa spoczywa złota papieska tyara, jedną ręką błogosławi, drugą trzyma berło złote. To Pantokrator bizantyński, władca świata, ten, przed którego się mianem ugina każde kolano niebieskie, ziemskie, piekielne. To nie Syn Człowieczy, jeno Bóg wszechmogący. Patrzy na nas wprost piękną, męską twarzą, spokojną jak przeznaczenie. Brodę ma długą, dodającą obliczu wyrazu męskiej siły.

U prawicy Syna Marya, u Jego lewicy Chrzciciel siedzą, pogrążeni w modlitwie, twarzą ku Niemu zwróceni. Nad głową Maryi królewska spoczywa korona, zdobna w jaśniejące klejnoty. Marya to śliczna, młoda, płowa niewiasta, o kształtach zaokrąglonych; spuściła oczy, w modlitewniku zaczytana. Chrzciciel męskiej pełen siły; ale to nie potęga spokojnej wszechmocy, malująca się na Bożej twarzy. Jego lice opalone, pełne ascetycznego żaru. Wszystkie trzy postacie nieopisanie poważne robią wrażenie, występując we wspaniałości bajecznej barw swoich na tle złotem ikonów. Utwór ten łączy mistyczny majestat bizantyński ze wszystkiem, co doskonała dać może sztuka; nie dostrzeżesz żadnej niezręczności w rysunku, nie masz gotyckich kantów ani w ruchach, ani w ciężkich sukiennych szatach, wszystko żywe zupełnie i piękne zupełnie, świadczy o doskonałej już sztuce, którą się współczesne Włochy żadną miarą pochwalić nie mogły.

Poniżej, na „Adoracyi Baranka“ świat równie mistyczny, ale całkiem inny. Hubert Van Eyk przenosi nas żywcem w świat nowy w ziemię ową obiecaną, która dla wybranych po sądzie ostatecznym powstanie. Pod wiecznie pogodnem niebem, w promieniach nigdy

nie gasnącego a promieniejącego szczęściem słońca, widnieje w głębi złocista, wspaniała, gotycka, bajeczna Jeruzolima nowa. Przed nią rozciąga się łąka ogromna, wieczyście wiosenna, o szmaragdowej zieleni. Rosną na niej fantastyczne, tropikalne, a jednak żywe drzewa, kwitną kwiaty o barwie drogich kamieni; z łąki tej wieje ku nam świeżość jakaś rozkoszna.

Wśród cudownego krajobrazu wznosi się ołtarz, a na ołtarzu stoi Baranek z rozciętą gardzielą, z której krew płynie do złotego kielicha, symbol Odkupiciela. Dokoła klęczą skrzydlate anioły, kadząc złotemi kadzielnicami. Ku Barankowi Bożemu pielgrzymują po zielonej, słonecznej łące postacie wiekuiście zbawionych a spokojnie szczęśliwych mieszkańców Raju, gromadki niewiast i panien, biskupów i księży, pustelników i męczenników, królów i rycerzy, przyobleczone w barwne szaty, podobne do najwspanialszych kwiatów, wybujałych na mistycznej łące. Postacie niektóre w głębi bardzo małe, a jednak każda wśród nadprzyrodzenie przejrzystego powietrza scharakteryzowana indywidualnie; podziwiamy na nich wdzięk panieński i świętość pustelnika, powagę nauczyciela i męstwo bohatera.

Musimy przenieść się do starego Muzeum berlińskiego, chcąc oglądać na czterech obrazach dalsze korowody pątników, dążących do Baranka, aby mu cześć oddać. To mężczyźni wyłącznie, po prawicy widzą pustelnicy święci, po lewicy konni rycerze i książęta. Jednemu korowodowi przewodniczy olbrzym święty Krzysztof. Kilka obłoczków ulatuje nad głowami tych postaci, słońce świeci tu z mniejszym blaskiem, utrudzenie widać na twarzach. Jeszcze nie w niebo wzięci, stąpają po ziemi, choć to kraina czarodziejska; w trudzie dążą do zbawienia. Każda głowa tu portretowa, indywidualna, bardzo charakterystyczna, mało która jest piękna sama przez się, choć każda z nich posiada piękność, którą ręka prawdziwego artysty każdemu swojemu nadaje utworowi. Mimo wysokich zalet te berlińskie pochody wiernych są najmniej doskonałą częścią gandawskiego niegdyś ołtarza i domyślają się niektórzy zapewne słusznie, że tu widać rękę młodszego Jana Van Eyka. Postacie nie są tu wolne od niewiadomo czy naiwnej, czy umyślnej niezręczności, czy maniery gotyckiej, objawiającej się w ruchach nie naturalnie kańczastych.

Całe natomiast zadziwiające mistrzowstwo Huberta Van Eyka występuje w pełni w chórach anielskich, podobnież w starem Muzeum berlińskiem przechowanych. To znów duże obrazy, w których widzimy postacie, wykonane na złotem tle, w naturalnych rozmiarach. Na jednem skrzydle siedzi anioł przy organach, a drudzy akompaniują na innych narzędziach muzycznych; na drugiem

skrzydle śpiewają aniołowie. Pojęcie tych aniołów jest całkiem niezwykłe; są to piękne, bezskrzydlne, indywidualne podrostki o długich złocistych włosach, które im w obfitych lokach na ramiona spadają; odzież ich stanowią bogate, białe, złotem haftowane kapy kapłańskie, narzucone na białe alby z cienkiego płótna; nigdy jednak nie wpadnie ci na myśl, że to jakieś ludzkie pacholęta, jacyś kościelni seminarzyści, którzy liturgię odprawiają, bo te pod względem technicznym doskonale, namacalnie, naturalnie wykonane postacie, które na prawdę grają i śpiewają, mają w sobie jakąś powagę, nie uwłaczającą wiecznej młodości, i jakąś piękność nieznikomą, świadczącą każdemu wyraźnie, że to dzieci nieba — a utwory wielkiego malarskiego geniuszu, jednego z największych, jacy żyli na ziemi.

Podwoje tryptyku ustawiono w starem Muzeum berlińskiem tak, że można także oglądać ich stronę odwrotną na dzień powszedni przeznaczoną. Nie wdam się w opisy tego, co tu raczej dekoratywne ma tylko znaczenie, nie wolno jednak pominąć zwiastowania i portretów, będących także niezawodnie własnoręcznemi dziełami Huberta.

Zwiastowanie jest to nadzwyczaj misternie namalowany obraz biały; w białej izbie klęczy Przenajświętsza Panna o rozproszonych włosach płowych, ubrana w białe szaty, a anioł również płowy, w białej odzieży, niesiony na białych skrzydłach, zleciał do niej z dobrą nowiną, a teraz ukląkł. Obie postacie są dziewiczo piękne, idealnie pojęte, a iście wzruszającą jest dziewicza pokora, z którą Marya przyjmuje anielskie pozdrowienie. Misternie rozstępują się w głąb bielone ściany skromnej izdebki, wróżąc późniejsze niederlandzkie obrazki rodzajowe, cichym, nie wpadającym w oko, ale arcymisternym rozkładem świateł i cieni; lampka kruszcowa, prawdziwa, metalicznymi odblaskami łudnie zdobiona zwisła w gotyckiej framudze, a przez okienka romańskie w głębi widać kawał nieba i kawał krajobrazu. Wszystko razem dowodzi mistrzowstwa niepospolitego w arcytrudnem malowaniu przedmiotów przeważnie, wyłącznie prawie białych.

W zwiastowaniu dał Hubert Van Eyk przedsmak cichego, rodzajowego malarstwa niederlandzkiego, w adoracyi Baranka był już peizażystą, jak późniejsi Holendrzy, w postaciach Chrystusa, Maryi, św. Jana i aniołów, w górnej części tryptyku namalowanych jest zwiastunem wielkiego malarstwa Massysa, Rubensa i Rambranta, aby cały rozwój niederlandzkiego malarstwa był już w zarodzie, w tem jego pierwszem, zadziwiającem arcydziele, stworzył jeszcze

znakomite portreta małżonków, fundatorów ołtarza. Oboje bardzo nie młodzi, klęczą pobożnie ze złożonemi do modlitwy rękoma; są widocznie bardzo podobni. On dość otyły, ma twarz starannie ogoloną, krótko ostrzeżone włosy, futerkiem obramowaną odzież; ona, raczej chuda, białą ma na głowie namitkę. To mieszczanie bogaci, nieuczeni, ale rozumni i silną obdarzeni wolą, nie pozbawieni patrycyuszowskiej dumy; on zajmował się biegle sprawami swojego miasta, ona strzegła roztropnie progów domowych. Tacy ludzie fundowali nietylko obrazy, ale także bogactwo i wolność Niederlandów.

Ostatnim fragmentem ołtarza z Gandawy, o którym mówić przychodzi, są postacie Adama i Ewy, przechowane obecnie w Galeryi brukselskiej. Widzimy tu nagiego męża i nagą niewiastę, wykonanych w naturalnej wielkości na złotem tle; malarz dał tu dowody zadziwiającej znajomości, anatomii, ale popadł w płaskie, brutalne, niepięknej natury naśladowanie i pozostał daleko w tyle za współczesnym Włochem, Massaccio.

Muzeum Prado w Madrycie posiada trzy obrazy, które tam Hubertowi Van Eykowi przypisano, są to jednak kopie postaci Bogarodzicy i Chrzciciela z gandawskiego ołtarza i nieudolne dzieła miernego naśladowcy, wyobrażające zwalczenie judaizmu przez Chrześcijaństwo. Zdaje się natomiast, że się należy Hubertowi przypisać obraz w Muzeum neapolitańskiem, wyobrażający św. Hieronima. Siedzi w celi, wśród ksiąg, w długie białe szaty przyobleczon i lwu kolec z nogi wyciąga. Lew jest drewniany, ale postać świętego wspaniale rysowana i pełna powagi, a sposób traktowania białych szat zasługuje na podziw.

Młodszy brat i uczeń Huberta, Jan Van Eyk (1386—1440), był niezawodnie znakomitym artystą i zasługiwał na łaski, których na dworze burgundzkim doznawał, nie dorównywał jednak wielkiemu bratu.

Zostawił po sobie dość spory poczet obrazów małych i średnich rozmiarów. Nie odważył się nigdzie na malowanie postaci naturalnej wielkości, nie zdobył się nigdy na idealną piękność, bywał najświetniejszym, kiedy malował miniaturki prawie, zadziwia arcymisternem szczegółów wykończeniem i charakterystyką głów, bywa jednak niezręcznym, może z umysłu kańczastym w oddawaniu ruchów ludzkich, popełnia niekiedy błędy rysunku, okupione jedynie niezrównanym barw blaskiem, zdradza za tem, że jest malarzem bardzo wprawdzie utalentowanym, ale niedoświadczonym, początkowym jeszcze. Wymienię tylko niektóre, najznakomitsze jego dzieła: cztery madonny, dwa portreta.

Zacznę od obrazów większych. W Akademii, w Bruggii, przechowują dość wielki obraz, w którym Madonna na tronie zasiada między dwoma świętymi, dzierżąc w ręku nagie dziecko. Świetne traktowanie szat i wszelkich przyborów, blask złota, błękitnej i czerwonej barwy, królewska, czy kapłańska odzież Maryi, klęcząca wreszcie przy tronie postać fundatora obrazu, przypominają dzieła Huberta. Święty Jerzy w zbroi kłania się pięknie, poważnie stoi biskup św. Donacyan przed Bogarodzicą, ale i Matka Boska i Chrystus są po prostu brzydcy, starzy, niesmacznie realistycznie wykonani.

Podobnych rozmiarów obraz w Luwrze, w Paryżu, ma podobny charakter, podobne zalety i błędy. Tu tylko fundator obrazu klęczy przed niepiękną Bogarodzicą. Ale przez okno komnaty, w której tron Maryi ustawiono, widać rzekę, płynącą wśród drzew, i ten krajobraz dziwnie zielony i głęboki jest istnem arcydziełem, bez porównania wyższem od sztywnych konwencyonalnych krajobrazów, jakie podówczas jeszcze we Włoszech malowano. Tu popisuje się Jan Van Eyk świetnymi owocami pracy francuskich i niederlandzkich miniaturzystów.

Wprost w miniaturzystów ślady puścił się Jan Van Eyk w maciopcim tryptyku Galeryi drezdeńskiej. W środkowym oddziale siedzi Marya z dzieckiem, w kosztownych szatach, ale z obnażoną głową i świetnie malowanymi włosami; po skrzydłach stoją święta Katarzyna z Aleksandryi i święty Michał Archanioł z klęczącym przed sobą fundatorem. Całość robi wrażenie zachwycającego jubilerskiego arcydzieła; barwy lśnią blaskiem nieopisanym, postacie w bardzo małych rozmiarach wykonane są pełne młodocianego wdzięku, a nadziwić się nie można subtelności pędzla, wykonującego najdrobniejsze szczegóły w odzieży i klejnotach, malującego cudowne wzory na kobiercu u stóp tronu Bogarodzicy, cieniującego misternie ciała, muskującego włosy, nadającego wyraz ustom i włosom drobniutkich postaci. Najwięcej zachwyca perspektywa romańskiego kościoła, w którym Marya zasiada. Istny to cud architektonicznej fantazyi, w którym się każda marmurowa kolumenka namacalnie zaokrągliła, w którym każda głownica własnem życiem żyje, który światło prawdziwe, dzienne przedziwnie przenika.

Podobnym cudem, podobnych rozmiarów szczyci się stare Muzeum berlinskie. Tylko tu stoi wdzięczna królowa niebios z niemowlęciem swojem wśród gotyckiego kościoła, w którym światło igra w sposób zachwycająco czarodziejski. Te klejnociki malowane są pierwiastkami mnogich miniaturowych arcydzieł, któremi późniejsze Nie-

derlandy świat zasypać miały, a tym razem pierwocinom mało co dorównało w czasie wielkiego żniwa.

Także stare Muzeum berlińskie posiada większych rozmiarów portret, wykonany przez Jana Van Eyka, a znany pod nazwą Męża z gwoździkiem. Portret ten daje doskonałe wyobrażenie o innych podobnych naszego artysty robotach. Na szarem tle występuje bardzo plastycznie starzec, dokładnie ogolony i ostrzeżony, na którego twarzy oddano starannie wszystkie najmniejsze zmarszczki; podobnież dokładnie wykonano wszystkie szczegóły stroju obramowanego miękkiem futerkiem i gwoździk, trzymany w ręku. Jest to arcydzieło cierpliwości, oddającej wiernie i ułudnie zewnętrzne formy, jakie przypadkowo były, kiedy starzec siedział do portretu. Van Eyk uwiecznił, co było przypadkowem tylko, nie ma przeto wyrazu, nie ma duszy w owej głowie, a podziwiając robotę, sądzisz, że starzec brzydki, brzydszy, niźli jest w istocie.

Te same znamiona cierpliwego przedewszystkiem talentu, znamiona, które nieraz później w niederlandzkiej dostrzeżesz sztuce, występują w słynnym obrazie Galeryi Narodowej w Londynie, wyobrażającym dwoje małżonków Jana Armolfiniego, Włocha, osiadłego w Bruggii i jego żonę, Johannę de Chenany. Małe figurki, bardzo ściśle a dokładnie rysowane, stoją, trzymając się za ręce, pośrodku niewielkiego obrazu na pierwszem tle. Podziwiasz ich wypukłość, ich miniaturowe wykończenie, doskonałe traktowanie żywego ciała, misternych karnacyi wycieniowanie, a może przedewszystkie mistrzowski sposób, w który oddano wszystkie szczegóły stroju. Ale twarze tych nowożeńców, o których wzajemnym afekcie świadczy tylko napis, na obrazie umieszczony, są dziwnie brzydkie, pospolite, wszelkiego pozbawione wyrazu, a patrzą na ciebie głupio, oczyma, które na wierzch wyszły. Jednak obraz ten jest istnem arcydziełem drobiazgowego malarstwa niederlandzkiego, jakiem i później tak bardzo często bywało, i nie jesteś w stanie nie podziwiać tej pracy wykonanej z najwyższą, germańską, cierpliwą drobnostkowością. Mianowicie pokój, w którym nowożeńcy stoją, odmalował Jan Van Eyk w sposób niezrównany, dokazując cudów perspektywą i rozkładem światłocienia, malując w drobniutkich rozmiarach każdy sprzęt z taką miłością, jakby chodziło o najwyższe zadanie sztuki. Podziwiasz daleko więcej od postaci ludzkich misternie połyskującą lampę metalową, zwisłą u sufitu, w której się rozmaite rzeczy odbijają tak właśnie, jak to w rzeczywistości bywa; podziwiasz perspektywy ułudne, jakie się otwierają w głębi obrazu, przez drzwi otwarte, ale najwyższy podziw chowasz dla dziecinnej, ale cudownie oddanej

igraszki optycznej, dla krągłego wklęsłego zwierciadła w głębi, w którym się pokój i nowożeńcy odbijają dziwacznie, ale tak właśnie, jak się we wklęsłem zwierciedle odbiją. Nie dość na tem; tryumfem miniaturzysty, popisującego się swoją sztuką, są dopiero ramki mikroskopiczne tego zwierciadełka miniaturowego, bo na nich wykonano całkiem bajecznie subtelnym pęzelkiem szereg scen z męki Pańskiej, które dobrze rozpoznasz, jak się popatrzysz przez lupę.

Tylko o Janie Van Eyku wiemy na pewne, że był uczniem brata swego Huberta; niezawodnie wpływ wielkiego malarza zapanował jeszcze za jego życia w całych Niederlandach i nie mamy prawa wątpić, że wszyscy wybitniejsi malarze niederlandzcy, którzy w połowie piętnastego wieku pracowali, bezpośrednio a przynajmniej pośrednio z jego wyszli szkoły, a to tem pewniej, że prócz używania farb olejnych i zamiłowania w tryptykach mają jeszcze wiele innych wspólnych znamion, tak wyraźnych, że można na pierwszy rzut oka poznać niederlandzki obraz, pochodzący z piętnastego wieku. Wymienimy tylko najznakomitszych z pośrodka następców Huberta Van Eyka, znanych powszechnie wraz ze swoim mistrzem i niedorównanym pierwowzorem pod nazwą malarzy staroflamandzkich.

Głośno zasłynął pośrodku nich malarz imieniem Rogier (1410—1464), rodem z Tournay, we francuskiej części dzierżaw książąt Burgundyi. W rodzinnem mieście nosił nazwisko de la Pature, ale uczył się zapewne malarstwa w Bruggii, osiadł później stale w Brukseli, a że to były miasta flamandzkiej mowy, przetłómaczono tam jego nazwisko tak, że bywa zazwyczaj zwany po dziś dzień Rogier Van der Weiden. I on także cieszył się niemałymi względami burgudzkiego dworu, za panowania księcia Filipa, wielkiego sztuki miłośnika. Przebywał jednak także jakiś czas około roku 1450 we Włoszech; nie wywarł żadnego wpływu na tamtejszą sztukę, ale sam skorzystał z podróży i stworzył później kilka obrazów, świadczących o tem, że nie pozostał nieczuły na wpływ ówczesnych toskańskich mistrzów.

Choć zgermanizowano nazwisko Rogiera, występuje wybitnie duch francuski w jego dość licznych obrazach, a gdy je porównamy z dziełami współczesnych rodowitych Flamandów, poznamy snadno, że wyszły z rąk romańskiego a nie germańskiego artysty. Jakkolwiek Rogier umiał także władać subtelnym pęzlem miniaturzysty, mniej się tem popisuje, a zawsze główny kładzie nacisk na dramatyczną stronę wyobrażonych przez siebie scen, zaczerpniętych wyłącznie z Ewanielii; kilka postaci, ugrupowanych obojętnie a poruszo-

nych namiętnie, zwraca na siebie przedewszystkiem uwagę w każdym jego obrazie i bywa nieraz wielka tragiczna moc w utworach Rogiera, dochodzących czasem do wcale znacznych rozmiarów. Można mu nawet słusznie zarzucić, że bywa teatralny, niespokojny, przesadny. Postacie jego mają zawsze rysy regularne, ale częstokroć wyrazy kurczowo, aż karykaturalnie wykrzywione; czerwone przeważnie na nich płaszcze bywają tak niespokojne, jakby wicher gwałtowny nimi miotał; ruchy figur i fałdy szat są często nienaturalnie kończaste, umyślnie tak połamane, aby się godziły z niepokojem późniejszego gotyckiego stylu; koloryt jego piękny i soczysty nigdy jednak nie posiada tego blasku barw, który u Van Eyków zachwyca; krajobrazy i wnętrza architektoniczne bardzo piękne, bywają rozumnie traktowane, tak aby na siebie zbytecznej nie ściągały uwagi; rysunek staje się poprawniejszym, cały styl szlachetniejszym w miarę, jak rosną rozmiary obrazu; w obrazach mniejszych bywają czasem błędy rysunku rażące, niemożliwie modelowane nagie ciała, zbyt małe ręce. Nic, pod tym względem przynajmniej, wielkim obrazom Rogiera zarzucić nie można, choć dramatyczna znów siła bywa w mniejszych obrazach większą.

Najbardziej charakterystyczne utwory Rogiera znajdują się w starem Muzeum berlińskiem. Są to trzy tryptyki mniejszych rozmiarów. Na jednym widać po środku Boże Narodzenie: Bogarodzica, święty Józef i inne postacie klęczą dokoła niemowlęcia, spoczywającego na ziemi, a między nimi widać także w czarnej odzieży fundatora tryptyku. Wszystko pojęte legendarnie, kolędowo, gotycko; a święty Józef, jak zawsze u Rogiera, chudy, stary, dziwnie zakłopotany tem, że został domniemanym tylko Maryi mężem, domniemanym ojcem Syna Bożego, klęcząc, drżącą ręką zasłania świecę. Zdał sobie Rogier sprawę z tego, że tu chodzi o nocy świętej wyobrażenie; nocy jednak nie umiał jeszcze odmalować, bardzo tylko nie śmiało, zestępuje na drogę, po której krocząc późniejsi Niederlandczycy a zwłaszcza Holendrzy, mieli się popisywać mistrzowstwem swojem w malowaniu świateł i cieni. Na jednem skrzydle tryptyku widać trzech króli, oglądających gwiazdę, na drugiem cesarza Augusta, któremu Sybilla narodzenie Zbawiciela wieści. I tu i tam oglądamy wielką wspaniałość bogatych, ostro pofałdowanych, średniowiecznych, nadwornych szat. Patrząc na tryptyk, niejedną uznajemy zaletę; nie łatwo nam w pamięci pozostanie.

Drugi tryptyk poświęcony świętemu Janowi Chrzcicielowi. Wśród bogatych gotyckich obramowań, w których się Rogier lubował nad wyraz, oglądamy na głównem polu nagie, przesadne, prze-

długie, kończaste ciała Chrystusa przyjmującego i świętego Jana, udzielającego chrzest, kompozycyę tradycyjnie i liturgicznie poważną. Godniejszemi uwagi są skrzydła. Na jednem siedzi poważnie Zacharyasz, w stroju piętnastego wieku; młoda kobieta przynosi mu nowonarodzone dziecko, którego imię pisze oniemiały cudem ojciec. Oko jednak nie na tych spoczywa postaciach, goni w głąb do dalszych pokoi, odmalowanych w misternej perspektywie, cieszy się rodzajowymi szczegółami, świętą Elżbietą w łożnicy i niewiastami odwiedzającemi. — A już najbardziej zajmującem jest skrzydło drugie, na którem wyobrażono ścięcie Chrzciciela. Ciało ścięte już, leży w kurczach śmierci na kamiennej posadzce, a krew tryska z szyi czerwonym strumieniem; głowę wzięła na miskę ładna, przesadna, w dworne burgundzkie szaty przyodziana, zalotna wśród zbrodni Herodyada: wnet pójdzie z ściętą głową we wspaniałe gotyckie krużganki i dziedzińce, pochwalić się czynem przed Herodem, biesiadującym tam w głębi, a uśmiechem zalotnym powita młodzież, którą widzimy przechadzającą się w spiętych, jaskrawych szatach, pośród cudnie malowanej zamkowej perspektywy.

Ostatni wreszcie a podobno najlepszy berliński tryptyk poświęcony Przenajświętszej Pannie. Na lewem skrzydle odmalował Rogier znów Boże Narodzenie z zakłopotanym świętym Józefem. Na głównem polu widzimy wizerunek rozdzierającej, największej boleści. Matka opłakuje umęczonego syna. Kańczaste, martwe, poranione i pokrwawione ciało Chrystusa spoczywa w objęciach Maryi, której boleść niepohamowana gwałtownym wybucha płaczem. Jakim był płacz, jaką rozpacz była, taką jest radość na prawem tryptyku skrzydle, gdzie Matka wbrew nadziei zmartwychwstałego ogląda Syna i nikt pewno niezmiernej radości. po niezmiernym smutku, nie wyraził lepiej, jak na tym obrazie Rogier; wszystko drży pod siłą uczucia. I przy Bożem Narodzeniu i nad zwłokami Chrystusa i nad Chrystusem zmartwychwstałym unoszą się w powietrzu aniołowie o jaskółczych skrzydłach i długich szatach, pojęci jako duchy i przeto malowani wcale nienaturalnemi barwami. Są to fantastyczne anioły jakieś, całkiem czerwone albo całkiem niebieskie, smucące się albo radujące

Takie same szafirowe cienie o kształtach żałośnych aniołow ulatują w Nadwornem Muzeum wiedeńskiem nad Męką Pańską, wyobrażoną na głównem polu mniejszego nieco tryptyku, w którem się włoskie odzywają wpływy. Ciało Chrystusa nagiego, na krzyżu zawieszonego, jest tu całkiem niefortunne, ale boleść Maryi i św. Jana Ewanielisty jest tu wyrażona po mistrzowsku, choć przesadnie

zapewne i bez względu na brzydkie twarzy wykrzywienie. Bez zarzutu są natomiast spokojne, bolejące cicho, piękne postacie św. Salomei i św. Weroniki na skrzydłach ołtarzyku, postacie pobożne, godne szlachetnym smętkiem pęzla Włocha, idealisty, a jaśniejące sytą niederlandzką barwą.

Tak samo szlachetnie pojętym i wykonanym, tak samo na żaden zarzut nie zasługującym, jest dość duży obraz, wystawiony w Muzeum Prado w Madrycie, a wyobrażający Zdjęcia z krzyża. Właściwie można obraz ten sam aż dwa razy w madryckiem oglądać Muzeum, a po raz trzeci w Eskurialu i znawcy nie mogą roztrzygnąć, który z trzech egzemplarzy jest oryginałem. czy wszystkie trzy nie wyszły z rąk Rogiera, kopiującego własny utwór. Na złotem tle występują plastycznie postacie, jaśniejące świetnemi barwami, omal że nie klasycznie pojęte a wykonane w połowie naturalnej wielkości. Jest tych postaci dziesięć, ugrupowanych nadzwyczaj umiejętnie na pierwszym planie, w sposób przypominający płaskorzeźbę. Zachwycają od razu rytmem linii, szlachetnością draperyi, przejrzystością skulpturalną układu. Patrząc na nie, wiesz, że Rogier spojrzał na antyki i pozostał pod ich wpływem, choć się i tu nie ze wszystkiem wyrzekł gotyckich form i współczesnych sobie szat. Od razu przypiszesz obrazowi wielką wartość dekoracyjną, a przypatrzywszy się, ujrzysz, że wszystko wykonane starannie, że każdej postaci indywidualnej szczery i głęboki wyraz nadano. Nikodem i Józef z Arymatei dźwigają wspaniale wykonane ciało Zbawiciela; Salomea i Jan Ewanielista powstrzymują omdlałą Bogarodzicę, piękną w omdleniu, jak klasyczna Niobe. Z rozpaczą załamuje ręce strojna z burgundzka Marya Magdalena. Jest to niewątpliwie najdojrzalsze i najpiękniejsze dzieło Rogiera, choć tryptyk Maryacki w Berlinie wzrusza może więcej.

W tem samem Muzeum w Prado i w Muzeum w Antwerpii znajdują się dwa bardzo wielkie obrazy, które lubo nie są replikami w ściśłem tego słowa znaczeniu, mało się różnią od siebie, a które się domagają wzmianki już na podstawie swoich wyjątkowo znacznych rozmiarów. Obydwa obrazy są to znów tryptyki, a mają wyobrazić Siedm Sakramentów. Po środku odbywa się dramat bolesny i u Rogiera zawsze na wskróś wzruszający Męki Pańskiej we wnętrzu gotyckiego kościoła: ksiądz w głębi odprawia mszę świętą i tem samem wyobraża Sakrament ołtarza. W lepszym, spokojniejszym antwerpijskim obrazie odmalował Rogier na skrzydłach tryptyku boczne nawy kościelne, w których księża dalszymi sześcioma sakramentami szafują. W Madrycie wtłoczono dalsze sceny sakra-

mentalne do architektury wraz z mnóstwem scen biblijnych, a na skrzydłach tryptyku przedstawiono grzech pierworodny i Sąd Ostateczny. Obydwa tryptyki są zacnemi księgami, w których wiele rzeczy wyczytasz, ale w madryckim jest wszystkiego za dużo, tak że nietylko całości ująć, ale nawet szczegółom ze spokojem przypatrywać się nie możesz.

Zanim się pożegnam z Rogierem, muszę jeszcze wspomnieć o dwu obrazach większych rozmiarów w Starej Pinakotece w Monachium: o „Trzech Królach" i „Świętym Łukaszu".

Trzej królowie przypominają utwory włoskich malarzy. Marya siedzi z dzieckiem pod szopą; przy niej święty Józef, wół i osiołek. Z jednej i drugiej strony cisną się do szopy królowie, rodem z Azyi, Europy, Afryki, otoczeni strojnym, dziwacznym orszakiem, a oddając pokłon, niosą bogate dary. Tylko tu splendor barw ówczesnym Włochom nieznany, oko bawi, a może nawet razi barbarzyńską wspaniałością, a postać egzotyczna króla Murzyna jest może ze wszystkich najciekawszą. Wspominasz tu już późniejszego o dwa wieki Rubensa.

Święty Łukasz to malarz w szatach Rogierowi współczesnych, malujący w pracowni, tylko że jego modelem Bogarodzica, która stanęła przed nim z dzieckiem w ręku. Mimo prostoty, z którą postać Maryi jest pomyślana i wykonana, czuć, że to nadprzyrodzone zjawisko.

O niektórych innych malarzach niederlandzkich tego pokolenia powiem po słów kilka. Piotr czyli Petrus Cristus, osiadły w Bruggii, żył jeszcze w ósmem dziesięcioleciu piętnastego wieku, a był słabszym naśladowcą Jana Van Eyka.

Teodoryk czyli Dirk Bouts, rodem z Haarlem w Holandyi, umarł w Leodyum r. 1475, a malował postacie większe, przedługie, niezgrabne; zasługuje na uwagę tem, że maluje rodzajowe legendy dziwaczne, albo sceny z Pisma Świętego, popisując się wyobraźnią nieraz ponurą a pustą i energiczną głów charakterystyką. Obrazy jego można napotkać we wielu muzeach północnych. Najciekawsze i podobno największe posiada Galerya w Brukseli, gdzie opowiedziano naiwnie i z zamiłowaniem we wszystkiem, co okropne, jakoto małżonka cesarza Ottona Wielkiego zabawiła się w żonę Putyfarową, oskarżyła rycerza niewinnego przed mężem, a z radością przy ścięciu jego obecną była; jak jednak wdowa, niosąc w ręku głowę ściętego małżonka, prawdę cesarzowi wyjawiła i jak sprawiedliwy monarcha swoją żonę żywcem spalić kazał. Dirk Bouts opowiada tak naiwnie, jak w Toskanie Benozzo Gozzoli, wyobraża na jednej tablicy następujące po sobie zdarzenia, bawi miłośnika naiw-

nej sztuki, a brak wdzięku zastępuje surowym i niezgrabnym realizmem i blaskiem farb, wśród których jednak czarny kolor zbyt wielkie tworzyć zwykł plany.

Niebieskie natomiast szaty widnieją na obrazach pokrewnego Hugona Van der Goos (umarł w r. 1482). Wspaniałość barw olejnych zwróciła za życia na tego artystę już tak bardzo na siebie uwagę Włochów, że obstalowano we Florencyi dla szpitalu Santa Maria Nuova tryptyk z Bożem Narodzeniem u Van der Goosa. Tryptyk ten duży jest dotąd na miejscu w szpitalu św. Maryi Nowej i dziwi nie mało jaskrawością barw i niezgrabnym realizmem w toskańskiej stolicy, pełnej najsubtelniejszych już, idealistycznych dzieł współczesnych Goosowi malarzy. Postacie tu bardzo przedługie, twarze portretowo niepiękne, różne od typu włoskiego. Ogromna Madona klęczy wśród flamandzkiego miasteczka, nad nieproporcyonalnie małym Chrystusikiem, położonym na do zbytku trzeźwą ulicę. Przy niej modli się przetłuste a przecie przedługie Niemczysko; niezgrabne, ale pobożne przyklękują pastuchy, a roje skrzydlatych, pacholęcych aniołów, ubranych w ciężkie ornaty zlatują się zewsząd, klękają dokoła, przynoszą z sobą poezyę północnej kolędy i bajki.

Także na wskróś północnym jest równie duży i niezgrabny obraz Justa czy Jodoka z Gandawy, przechowany dziś w Akademii w Urbinie. Obraz ten wyobraża wnętrze gotyckiej, północnej katedry, w której Chrystus apostołom klęczącym komunię podaje. O żadnym innym obrazie Jodoka nie wiem, ale malarz ten wywarł wraz z Antonim z Messyny wielki wpływ na rozwój sztuki włoskiej. Osiadł bowiem we Włoszech na stałe i tamtejszym mistrzom powierzył tajemnicę olejnego malarstwa.

Inne zgoła znaczenie ma Jan, czyli Hans Memling, po Hubercie Van Eyku największy mistrz, o którym mam w niniejszym rozdziele mówić. Urodził się gdzieś koło rkou 1435, umarł w r. 1495, był uczniem Rogiera w Brukseli, ale osiadł w Bruggii, tu żył, tu działał, tu umarł. tu pozostawił swoje arcydzieła. Można je oglądać zebrane w niewielkim pokoju w szpitalu bruggijskim świętego Jana i dla nich to zwykli miłośnicy sztuki malowniczą, staroświecką Bruggię odwiedzać.

A zatem jaśnieje tu przedewszystkiem pięknością i barwą wielki tryptyk z poślubinami świętej Katarzyny. Na głównym obrazie zasiada po środku Marya z dzieckiem. Bogarodzica pełna dziewiczego wdzięku, choć ma, jak zawsze u Memlinga, zbyt wysokie czoło. Złociste rozpuszczone włosy okalają twarz Maryi, której spuszczone powieki dodają mistycznej powagi. Bogarodzica siedzi tu wśród nie-

biańskiego dworu w pysznym, bajecznym gotyckim portyku; aniołowie unoszą nad jej dziewiczą głową królewską koronę, a nigdy dość się nie nadziwisz misternemu bogactwu kobierca u stóp i złocistej makaty, zawieszonej za tronem Maryi. Pacholę w niederlandzkiem ubraniu klęcząc, trzyma księgę, w której Bogarodzica czyta, a spuściło pobożnie oczy, czcząc skromnie Matki Bożej święty majestat. Drugie pacholę w strojnej dalmatyce przygrywa z drugiej strony na organkach.

Chrystusek nagi i, jak to u Memlinga zawsze bywa, figlarnie uśmiechnięty; ciałko ma ślicznie modelowane, pulchniutkie, żywe. twarz raczej brzydką, ale rozczulająco dziecinną; wkłada pierścionek na ręce świętej Katarzyny, damy młodej a pełnej wdzięku i nabożeństwa, klęczącej w brokadowym, wspaniałym, ciężko fałdowanym stroju dam dworskich Filipa Dobrego i Karola Śmiałego, książąt Burgundyi. Koło złamane, leżące na posadzce, świadczy o tem, że to święta Katarzyna, a naprzeciwko niej, z tamtej strony obrazu, siedzi skromniej, ale zawsze wykwintnie ubrana święta Barbara, zaczytana w dużym modlitewniku. W głębi stoją obaj Janowie, Chrzciciel za Katarzyną, Ewanielista błogosławiący kielich za Barbarą, a to piękne, spokojne, święte męskie postacie. Poza kolumnami portyku zielenią się pod błękitem niebios głębokie, cudne krajobrazy, oblane światłem mistycznego słońca i powietrzem cudownie przejrzystem, pełne najróżniejszych, ślicznych szczegółów; a wśród krajobrazu wykonano w miniaturze różne sceny z obydwu świętych żywota.

Na skrzydłach tryptyku widzimy dwie chwile z żywota obydwu Janów. Na lewo ścięcie Chrzciciela przypomina, że Memling jest uczniem Rogiera; tylko że tu wszystko szlachetniejsze, piękniejsze, spokojniejsze i że dalsze zdarzenia z żywota Chrzciciela odmalowano w głębi, wśród krajobrazu; na prawo zasiada Ewanielista w Patmos i ogląda widzenia Apokalispy, wyobrażone w niebie przez nowe drobne postacie. Wszędzie pełno pogodnej legendarnej cudowności, wszystko przenosi widza w nadprzyrodzony jakiś, piękniejszy, bajeczny, mistyczny świat i nastraja go tak, aby się przejął teologiczną całego dzieła myślą, aby zrozumiał, że oglądamy po środku mistyczne poślubiny Chrystusa z Kościołem, że Chrzciciel to wyobraziciel sakramentalnej Kościoła mocy, krwią męczenników utwierdzonej, że Ewanielista to zwiastun Zmartwychwstania przyszłego, obiecanego wszystkim narodom, których wyobrażeniem Barbara.

Na zewnętrznej stronie podwoi tryptyku widzimy postacie klęczące fundatorów ołtarza i świętych ich patronów.

Jest w tymże szpitalu i w tejże komnacie, naprzeciwko, drugi mniejszy tryptyk z Trzema Królami. Utwór ten znowu Rogiera przypomina; ten sam, co u niego, układ tych samych postaci, tylko wszystko bardziej przetrawione, mistyczniejsze, wznioślejsze, bardziej okrągłe, dziewicze, spokojne, dalekie od wszelkiej przesady. Po środku, na głównem polu, trzej królowie składają wśród ruiny hołd narodów nowonarodzonemu Chrystusikowi, spoczywającemu w objęciach tej samej zawsze poważnej, młodej, wdzięcznej Matki Dziewicy o nadto wysokiem czole. Strojni bogato; szaty ich z miłością malowane, każdy haft, każdy klejnot wyraźny, ale barbarzyńskiego, krzykliwego nie masz przepychu. Na lewem skrzydle klęczy dziewicza Madona o mistycznym wdzięku, zbyt wysokiem czole i rozpuszczonych płowych włosach, nad nagiem, nowonarodzonem Niemowlęciem, spoczywającem na pole szaty Matki Dziewicy. Modli się Marya, modli się chudy, sędziwy Józef, zasłaniając znów świecę drżącą ręką, modlą się aniołowie. Na prawem tryptyku skrzydle ofiaruje Marya niemowlę swoje, stojąc w świątyni, jednemu starcowi, Szymonowi, a drugi starzec, Józef, zagląda do kieski, aby złożyć w kościele powinną ofiarę i mimo naiwnego realizmu, mimo braku pięknych rysów na portretowych głowach, jakaś woń wiosenna bajecznej mistyki wieje z obrazu, a jej źródłem podobno owo staranne juwelerskie malowanie staroflamandzkie, w którą właśnie Memling całą łagodną pobożność duszy swojej wkłada.

Chceszli wiedzieć, do czego takie malowanie doprowadzić może, tam nawet, gdzie przedmiotem jest portret zwykłego śmiertelnika? W tej samej niewielkiej sali szpitalu św. Jana w Bruggii spojrzysz na mały dyptyk w oknie ustawiony. Dyptyk to niby oprawa księgi, złożona z dwu kwadratowych, zawsze niewielkich obrazów, a dyptyki trafiają się nierównie rzadziej od tryptyków, czyli ołtarzy, zaopatrzonych w podwoje, a tylko do prywatnego służyły użytku. O ile pamiętam, w tej formie jedno tylko prawdziwe odmalowano arcydzieło, a jest niem dyptyk Marcina Newenhoven, najlepsze podobno dzieło Memlinga, o którem teraz właśnie mówię. Na lewem skrzydle zasiada Madona z dzieckiem, podobna do wielu Madon Memlinga, rozsianych po różnych galeryach; widzieliśmy ją już przy Poślubinach mistycznych św. Katarzyny i przed Trzema Królami; jeśli na nią trafimy w jakiejś wielkiej galeryi, zwróci zrazu na siebie uwagę naszą blaskiem barw; gdy przy niej staniemy, podziwiać będziemy misterność szczegółów pobocznych, ale nie podobają nam

się rysy zbyt zresztą smukłych świętych postaci: owo czoło zbyt wysokie poważnie zadumanej Maryi, nosik zadarty, szeroko uśmiechnięte usta Chrystusika. Przypatrujmy się jedno cierpliwie, a pamiętajmy, że Memling nie malował na to, aby ktoś spojrzał i poszedł dalej, tylko chciał, aby się jego dziełom przypatrzono, aby się z niemi zżyto, aby się stały dożywotnim człowieka przyjacielem. Więc cieszmy się szczegółami architektury i krajobrazu, tworzącymi głąb cudowną obrazu; cieszmy się posadzką kobiercem, krzesłem, każdą drobnostką, którą na tym lub owym obrazie napotkamy; zawsze będziemy mogli rozkoszować się misternem wykonaniem szat i włosów Bogarodzicy; zawsze dostrzeżemy, jak ciałko Dzieciątka Jezus dziwnie miękkie i żywe; gdy się wpatrzymy w subtelne rączki Matki i Dziecka, rozradujemy się samem ich życiem, a gdy się wpatrzymy jeszcze, zniknie dla nas na twarzach brzydota, oblicze Maryi zajaśnieje świętością, oblicze Chrystusika zapromienieje jakąś jasnością dziwną, w której się dzieciństwo z Bóstwem połączyły i przyznamy, że Hans Memling, choć niezgrabnie naiwny, był wielkim malarzem na prawdę, dziwnie biegłym w misternym kunszcie szkoły, wyszłej z pracowni złotnika i miniaturzysty.

Ale tu na bruggijskim dyptyku nie potrzeba się wpatrywać długo, aby podziwiać odmalowane na prawem skrzydle popiersie samego Marcina Newenhoven, modlącego się do Maryi. Występuje z obrazu, żyje, czuje, dycha, płonie barwą, uderza silną charakterystyką młodego, przystojnego mężczyzny, o kształtnych zmysłowych uściech. Szaty jego są dotykalne, każdy włos policzysz na jego bujnej czuprynie, na bogatem futrze, a ciało i miękkie i ciepłe. Wrażenie pędzlem unieruchomionego, ale wiecznego przeto, pełnego życia jest porywające, a jak się spytasz, czem Memling to wrażenie wywołał? — odpowiem: talentem zapewne, wielkim talentem, ale także z nierównaną starannością, z którą dobierał barwy wieczno-trwałe, jaśniejące, z którą oddawał wszystko, co dała przyroda, nietylko każdy odcień karnacyi na twarzy i rękach, każdy włos, każdą nitkę, ale także okna mieszkania widne w głębi i krajobraz za temi oknami. Nie malował na efekt tylko i przez to samo wydobył efekt największy. Całą godność ludzką wydobył z portretu i ten mieszczanin z Bruggii wygląda tu na księcia bohatera, o którym dzieje księgi spisały.

Po środku sali w szpitalu świętego Jana stoi duży relikwiarz, pokryty malowidłami Memlinga. Same to miniaturki olejnie wykonane a opowiadające legendę świętej Urszuli. Widzisz tedy, jak pogański królewicz z nad Renu wyprawił się po św. Urszulę, chrze-

ścijańską królewnę w Brytanii. Jako go poślubiła, Bożego usłuchawszy rozkazu; jako z nim do Kolonii popłynęła i tam jego naród nawróciła, małżonka swego do Rzymu powiozła i Papieżowi przedstawiła, a potem powróciła do Kolonii i tam otrzymała nagrodę niebieską. Wraz z dziesięcioma tysiącami towarzyszek, dziewic chrześcijańskich, umarła bowiem męczeńską, chwalebną śmiercią, zamordowana przez pogańskich Hunów Attyli.

To wszystko tu opowiedziane jakby na kartkach księgi. zdobnej w miniatury. Rzecz podzielona na obrazki, ale na jednym nieraz obrazie widzisz dwie sceny równorzędnie, na pierwszym planie opowiedziane. Wśród ciżby figur, wśród krajobrazów, przedstawiających porzeczne okolice i piękne miasta, nie może spocząć oko twoje, gdy chwil kilka przyglądasz się owemu relikwiarzowi, zatrzymawszy się w Bruggii, aby poznać Memlinga. I nareszcie znużony, wyrzekasz się oględzin, pewny, że ci nic z tego mnóstwa szczegółów w pamięci nie zostanie.

Tego samego wrażenia doznasz przed innymi obrazami Memlinga, w których tłumno od postaci ludzkich. Największym z nich jest Sąd Ostateczny w Gdańsku. Chrystus u góry siedzi na tęczy; przy nim klęczy Bogarodzica i święty Jan Chrzciciel, dalej grupy świętych; aniołowie ulatują z narzędziami Chrystusowej męki. U dołu Michał Archanioł waży grzechy ludzkie; dokoła zmartwychwstają umarli; z jednej strony roztwierają się podwoje piekieł, z drugiej roztacza się raj.

Jednolitą jeszcze kompozycyą jest Ukrzyżowanie Pańskie w Akademii peszteńskiej, gdzie roztacza się przed twojemi oczami na małej deszczułce cały dramat na Kalwaryi. Wznoszą się trzy krzyże ze Zbawicielem i dwoma łotrami; Bogarodzica mdleje wśród grupy świętych; gdzieindziej rzucają kostki o szatę Zbawiciela; roi się od koni, żołdactwa, Żydów.

Siedm Boleści Przenajświętszej Panny wyobraża większy obraz w starej Pinakotece monachijskiej. Siedm Radości mniejszy o wiele obraz w Muzeum turyńskiem, który jest jednak podobno najlepszem dziełem w tym miniaturowym rodzaju, odmalowanym przez Memlinga. W tych dwóch obrazach nie masz już mowy o jedności kompozycyi. Wśród bardzo urozmaiconych krajobrazów oglądamy w Turynie Zwiastowanie, Boże Narodzenie, Trzech Króli, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha świętego i Wniebowzięcie — w Monachium przeważnie sceny z Męki Pańskiej, a każda scena to osobny obrazek, we wspólnych odmalowany ramach.

Podobne utwory malowali Włosi w ogromnych rozmiarach i napełniając wzrok, postacie w pamięć wryć umieli. Przed obrazkami Memlinga musisz uważać, aby widzieć, a jednostajność oświecenia żadnej grupy od innych nie wyróżnia. Gdy patrzysz, dostrzeżesz zapewne tu i owdzie jeszcze błąd rysunku, ale przeważnie rysunek nietylko poprawny, ale śmiały, ugrupowanie jasne i mistrzowskie, głowy ładne a jednak indywidualne, grupy pełne wyrazu i uczucia, choć zawsze ujęte w spokojne linie i dalekie od namiętnego wykrzywienia niektórych postaci Rogiera. Barwy na tych obrazach świetne, zawsze podobne do kosztownej emalii, szaty czasem rodzajowe, czasem pięknie udrapowane, nagie ciała bez zarzutu w plastyce swojej, zwierzęta żywcem pochwycone, szczególiki najdrobniejsze, klejnoty, połyskujące zbroje, gzymsy na dalekich budynkach, przejrzyste materye, wykonane z największą starannością.

Trzeba pamiętać, w jakim celu malował te obrazy Memling. Nie myślał o turyście zwiedzającym Muzeum, tylko o właścicielu obrazu, który rzecz oglądać będzie codzień i codzień nowy szczegół ujrzy, albo do starego wróci. Dla takiego widza obraz Memlinga bywał rozkoszą.

Więc też naśladowców Memlinga nie brakło. Dwu już tylko wymienię. Może mniej samodzielnym był Jan, czyli J é h a n F o u q u e t, z Paryża rodem, nadworny malarz królów francuskich, Karola VII. i Ludwika XI. Madona w Luwrze jest jego może obrazem, a jest to bledsze tylko pod każdym względem naśladowanie Madon Memlinga. Czasem widujemy energiczne Fouquetowi przypisane portrety, a zdaje się, że brał udział czynny w ilustrowaniu cudownych ówczesnych modlitewników, pomiędzy którymi najsławniejszymi są: Modlitewnik Grimani w Pałacu Dożów w Wenecyi i Modlitewnik burgundzki w Bibliotece Nadwornej w Wiedniu.

Potężniejszą indywidualnością był bruggijski malarz, G e r a r d D a w i d (1460? — 1523), o którym jednak w późniejszym dopiero mówić będę rozdziele.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

NOWY SĄCZ
W EPOCE WAZÓW.

(Ciąg dalszy).

Rozdział II.
Ustrój mieszczaństwa.

Zaludnienie Nowego Sącza osadnikami niemieckimi przez Wacława, króla czeskiego, księcia krakowskiego i sandomierskiego 1292 r.[1]), i napływ tychże kolonistów w następnych latach, nadały oczywiście miastu charakter niemiecki. Księgi radzieckie i ławnicze jeszcze w r. 1488 po niemiecku były pisane, a dopiero w r. 1501 znajdujemy ostatni zapisek niemiecki w księgach miejskich. Nazwiska najmajętniejszych mieszczan w XIV. i XV. wieku, zachowane w przywilejach i aktach, są czysto niemieckie. Nawet w kollegiacie, założonej przez Zbigniewa Oleśnickiego w r. 1448, obok kazań polskich miewano co niedziele i święta kazania niemieckie, o czem jeszcze w r. 1521 a nawet w 1562 znajduję wyraźną wzmiankę [2]). Działo się to samo w Krakowie [3]) i we Lwowie [4]) i innych miastach polskich. Powoli jednak potężniejący za Jagiellonów duch narodowy szlachty polskiej oddziaływać począł na niemiecki żywioł mieszczaństwa, tak że już z początkiem XVI. wieku występują w Nowym Sączu coraz liczniejsze nazwy polskie, powstałe nie rzadko z nazwisk niemieckich. I tak n. p. Niemca Mordbira nazwano Morzypiwem, tłómacząc dosłownie przezwisko

---

[1]) Dokum. erekcyjny Nowego Sącza podaje w całości Rzyszczewski: Codex dipl. Polon. T. III. p. 155. Warszawa 1858.

[2]) Na testamencie Stan. Puczkowskiego, pisanym w Nowym Sączu 14. czerwca 1521 r., figuruje między świadkami wikary kollegiaty, ks. Jan z Kesmarku: concionator theutonicalis. Tak samo w księdze wydatków miejskich pod r. 1562 znajduję osobną rubrykę: praedicatori Alemanorum et praedicatori Polonorum.

[3]) Grabowski: Starożyt. wiadom. o Krakowie str. 32.

[4]) Moraczewski: Dzieje Rzpl. T. IV. str. 10.

(Spitzname) niemieckie pragnieniem nabyte; nazwiska Moczygardło, Moczymorda podobnie powstały. W przezwiskach tych utonęło wiele pierwotnych nazw niemieckich, bo się Niemcy spolszczali z czasem. W XVI. wieku już zrzadka się zawadzi jaki Bher, Frant, Fornagel, Hibalt, Librant, Lang, Kromer, Krosner, Milner, Passlar, Strass. Nazwy jednak rozmaitych narzędzi rzemieślniczych i sprzętów domowych przechowały swój niezatarty typ niemiecki nie tylko w XVII. i XVIII. wieku, ale w wielu wypadkach nawet po dziś dzień.

W spisie właścicieli domów z r. 1651, który mam pod ręką, występują same nazwy polskie: Cichonie, Durałki, Gądki, Jelonki, Krężle, Kopcie, Orły, Pękały, Rolki, Rozdymały, Sowy, Wydry, Widze, Zięby itp. I nie dziw! Prócz kilku kupców Węgrzynów, Włochów lub Szkotów [1]), z ojczyzny wygnańców, zasilała się ludność miejska własnem pokoleniem lub mieszkańcami mniejszych miasteczek, którzy jako majstrowie rzemiosł i mieszczanie, czy to dla lepszego zarobku, czy też uchodząc z pod rządów szlacheckich pod opiekę magdeburskiego prawa, w Nowym Sączu szukali przytułku. Mnóstwo także włościan okolicznych dawało synów do nauki rzemiosł, a wyuczeni towarzysze żenili się i osiadali w mieście, wykupując się z poddaństwa szlachty.

Przybyszami takimi między 1613—1636 r. byli: Jan Farnowski z Koźminka, Maciej Zatorski z Zatora, Jan Łykawski i Walenty Koszkowicz z Łęczycy, Walenty Wargulec, Stan. Kopeć i Wojciech Tymowski z Grybowa, Samuel Kominkowicz z Torunia, Marcin Oleksowicz z Żabna, Jan Czyrzyczka z poblizkiej Kamionki, Wojciech Bogdałowicz, Stan. Jamiński i Floryan Benedyktowicz z Czchowa, Wawrzyniec Szydłowski z Szydłowca, Wojciech Sławiński z Miechowa, Jan Zięba i Jan Obłąk z Bobowej, Krzysztof Gadowicz z Lipnicy, Wawrzyniec Kondratowicz i Wojciech Lakslarowicz z Krosna. Jan Ozdzic i Stan. Wójtowicz z Krakowa, i mnóstwo innych mieszczan, którzy tak przeważnie wpływali na dobre lub złe losy miasta, w którem się dorobili mienia i godności [2]).

---

[1]) Napływ Szkotów do Polski datuje się od drugiej połowy XVI. wieku, t. j. od wystąpienia w Szkocyi Jana Knoxa (ur. 1505, † 1572) i zwycięstwa kalwinizmu w tym kraju, wskutek czego prześladowani katolicy opuszczali swoją ojczyznę, i wtedy to nie mało kupców i rzemieślników szkockich osiedliło się nawet w miasteczkach mało i wielko polskich.

[2]) Liber susceptionis in civitatem Neosandecensem ab anno 1613—1636. — W wymienionych latach znajduję ogółem 177 najrozmaitszych rękodzielników, którzy przybyli z różnych stron Polski do Nowego Są-

Przyjmując do swego grona, żądali mieszczanie: 1) listu „od urodzaju“, t. j. poświadczenia urodzenia z rodziców prawych; 2) osiadłości i mienia nieruchomego; 3) hakownicy lub przynajmniej muszkietu i miecza dla obrony miasta: przedewszystkiem zaś przysięgi na posłuszeństwo urzędowi miejskiemu we dnie i w nocy. Od Szkotów zaś i ludzi podejrzanych w wierze żądano prócz tego ślubu, iż będą żyli w wierze katolickiej i zaniechają handlu towarami zakazanymi. Lecz ich nie było, prócz Jakóba Watson i Jana Wills Skranenborgh, i to jeszcze za Zygmunta III. przyjętych w roku 1613 i 1616.

Mieszczanie bez wyjątku żyli z pracy i dzieł rąk swoich, chociaż zamożniejsi posiadali małe gospodarstwa, folwarki i wólki na przedmieściach; rzemiosło jednak było podstawą ich utrzymania i wychowania.

Rzemiosło każde stanowiło osobny ustrój towarzyski, osobne bractwo czyli cech. Jak ów owad, którego byt ściśle połączony z pewną rośliną i pewnymi warunkami, tak rzemieślnik ówczesny żył tylko w obrębie rzemiosła i bractwa swego, tam tylko czuł się w swym własnym żywiole, wiedząc, że podadzą mu rękę w niedostatku, obronią w potrzebie, uczczą dobrą chęć i zasługę. Z bractwa swego dopiero wchodził w życie publiczne: na radziectwo, ławnictwo, bo wszystkich rzemiosł bractwa były oraz szkołą obyczajów, a obyczaje podstawą praw i samorządu. Już nazwa sama i pojęcie „bractwa“ w rzemiośle kryła w sobie wielkie pojmowanie społeczności, opierając się na miłości wzajemnej, na braterstwie, którego obyczajem nie było nienawidzić bractw drugich, lecz pospołu z niemi pilnować i strzedz praw Boskich i ludzkich, pospołu czuwać nad wspólnem dobrem: „rzeczą pospolitą“. Stąd też ogół mieszczaństwa, mówiąc o sobie, zwał się „pospólstwem“, niby braterstwem wspólnej doli, a miasto swe zwał rzecząpospolitą swoją, cząstką całej pospolitej, kochanej polskiej ojczyzny. Pycha dopiero późniejsza i wyniosłość wzgardziła temi pięknemi pojęciami i wyrazami i wdeptała je w pogardy nicość.

Wiek XVII., pomimo znacznej oświaty, nie był wolnym od tysiącznych przesądów i zabobonów, ścieśniając i tak ciasne pojęcia ogółu; czemużby biedni rzemieślnicy mieli być większymi w mądrości nad tych, którzy się mądrymi zwali? — Mądrość i zgłębia-

---

cza i tutaj przyjęli prawo miejskie. Zważywszy jednak na to, że w wielu wypadkach miejsce urodzenia wcale nie jest podane, można bez przesady liczbę owych przybyszów przyjąć na 300 z górą.

nie prawd odwiecznych poruczano duchowieństwu i uczonym akademikom, mieniąc to ich rzemiosłem. Mieszczaństwo, nie zgłębiając zasad wiary i obyczajów, żyło w pokorze, przestrzegając ściśle, co słudzy Boga zakazali lub nakazali, a zresztą pamiętając i przemyśliwając nad sposobem wyżywienia, wychowania dzieci i obrony swego miasta, jako cząstki tej wspólnej ojczyzny, wsławionej rodzimymi bohaterami na ziemi, a Świętymi wyznawcami w niebie. Obrzędy kościelne i własne istnienie: to były zasadnicze pojęcia bractw rzemieślniczych. „Bogu Wszechmogącemu ku czci i chwale, a ubogiemu cechowi naszemu ku pociesze ze wszystką bracią miła“ [1]) — oto godło tychże.

Kościół, dążąc do czystości obyczajów, karał dzieci nieprawej miłości, nie przypuszczając ich do stanu duchownego. Prawo niemieckie gorliwie dopełniało tego zamiaru. Karol Wielki w saksońskiem swem prawie odsądził dzieci nieślubne od czci i mienia dziedzicznego. Niemieckie bractwa rzemieślnicze, przyjmując ustrój prawie zakonny, odsądziły ich także od wszelkiej z sobą społeczności — a miasta polskie wzrosły na saksońskiem Karola Wielkiego prawie. Bractwa rzemieślnicze przyszły z Niemiec, obyczaj obcy wszedł w obyczaje rodzime, bo był cywilizacyjnym, choć zbyt surowym, a nawet może niesprawiedliwym.

Ustawy cechowe XVI. i XVII. wieku nie różnią się zasadniczo od ustaw cechowych XV. wieku, mają jednak niektóre właściwości obyczajowe, które choć w krótkości przytoczyć należy [2]).

„Uczciwy mistrz“, przyjąwszy chłopca na uczenie rzemiosła i zapisując go do księgi brackiej, musiał złożyć listy urodzenia jego. W braku tychże przyjmowano ustne świadectwo, lecz pod przysięgą. Stąd to w księgach cechowych często spotykamy taką formułkę: „Przyszli ludzie uczciwi N. N. i N. N., mieszczanie sandeccy, do cechu naszego sławnego . . . i zeznali pod przysięgą, podniosłszy dwa palce: Iż syn ich jest spłodzony dobrze, według kościoła świętego katolickiego z rodziców uczciwych: ojca N. N. i matki N. N., mieszczan sandeckich.“

---

[1]) Coroczny wybór cechmistrzów szewskich w Sączu kończono powyższą formułką.

[2]) Opieram się tutaj wyłącznie na zapiskach sandeckich. Kto chce poznać gruntownie organizacyę dawnych cechów polskich, niech czyta Wł. Stesłowicza: Cechy krakowskie w okresie powstania i wzrostu. Kwartal. hist. rocznik VI. str. 277—333. — Bogata treścią jest również praca dra Klem. Koehlera: Dawne cechy i bractwa strzeleckie. Roczniki Towarz. Przyj. Nauk. T. XXV. Poznań 1899.

Przy zapisie składano zwykle „kopę" czyli 2 złp. do skrzynki cechowej i kilka funtów wosku na światło brackie, czasami też jaki achtel piwa według zamożności rodziców ucznia. Odtąd przyjęty uczeń należał do bractwa, miał prawo i doznawał opieki, ale też i posłusznym być musiał cechowi swemu.

Wyuczonego „uczennika" uczciwy mistrz czynił wolnym od nauki, poświadczając, „iż mu dosyć uczynił za rzemiosło, jako przystało na cnotliwego, i przemianek wziął" czyli „przezwisko uczciwe", które dawała czeladź towarzyszowi, świeżo w ich grono wstępującemu [1]). Tak n. p. w r. 1625 „Marcin, uczennik stelmacha Jana, brał przemianek przy wszystkiej braci." — „Wojciech Jadamczyk, uczennik czchowski, brał przemianek tu u nas, przyszedłszy do nas bez przemianku." — „Jan Pękała brał przemianek i tu się uczył w Sączu."

Wyzwoleniec stawał się „towarzyszem" rzemiosła, miał prawo do gospody wspólnej i musiał po świecie wędrować dla nabrania doświadczenia w rzemiośle i życiu, czyli „pójść na Wander".

Wędrownemu niedoświadczonemu młodzieńcowi niejedno groziło niebezpieczeństwo po gościńcach i noclegach. Źli ludzie oszukiwali, ogrywali, okradali; zbójcy jawnie i w żywe oczy obierali biedaka ze wszystkiego mienia; a najgorsi ze wszystkich złoczyńców: Martauzy [2]) przebiegle wabili niebacznych na Węgry, dalej i dalej, aż ku nieszczęsnemu Jagrowi [3]), gdzie w XVI. wieku Turcy, zdobywcy środkowych Węgier [4]), za taki żywy towar chętnie płacili złotem. Nie dziw więc, że wychodzącemu towarzyszowi wpajali w pamięć przepisy ostrożności, które się dziś zdają nie tylko śmiesznymi, lecz nawet nie do uwierzenia podobnymi.

---

[1]) W statutach cechów krakowskich znajdujemy niewątpliwe wyjaśnienie tego zwyczaju: „novumque nomen alias przemianek indere" — „agnomina, quae przemianek dicuntur". Acta historica T. VIII. 414 §. 2. — 554 §. 5. — 490 §. 9. — 521 §. 9. — 607 §. 6.

[2]) Marta = kupiec: uz = człowiek: po turecku. Martahuz, martauz = ludokrajca, ludokradca, ludzioprzedawca. Sebastyan Klonowicz pisze w „Worku Judaszowym" (1600 r.): „Ludokrajce w Węgrzech martahuzami zowią". Tacy ludokrajcy z Węgier nawiedzali w dawnych czasach Polskę, kradli małych chłopców i uwodzili dziewczęta na sprzedaż Tatarom i Turkom.

[3]) Eger, Erlau.

[4]) Wskutek zwycięstwa pod Mohaczem w r. 1526, większa część Węgier stała się prowincyą turecką aż do 1686 r., dopiero pokojem karłowickim w r. 1699 zrzekła się Porta Siedmiogrodu i Węgier.

Wędrowny towarzysz, nie znajdujący roboty w mieście, otrzymywał obiad i wieczerzę „glejtowną“ [1]). Nawet mistrz lub towarzysz szerokiego rzemiosła, jeżeli przywędrował, według zwyczaju dostawał 12 gr. tak zwanej „powinności“.

Towarzysz podlegał sądom cechu swego. Sądzili zgromadzeni mistrze, nie bez zapytania jednak grona towarzyszów. Tak n. p. w r. 1563 czeladnik bednarski obwinił towarzysza swego o znalezienie swej zgubieli. Obwiniony wywiódł się (oczyścił się), a powód odwołał. Zły przykład jednak wymagał ukarania. Mistrzowie ugodzili ich między sobą i pytali czeladzi, czemby go chcieli karać? Towarzysze odpowiedzieli: iż trzema wochlonami [2]).

Uczeń lub towarzysz, obwiniony o jakie przekroczenie, „szedł w trybówkę“ albo „był trybowan“ [3]) t. j. ścigany. I tak n. p. w r. 1625 „Błażej Buczeński trybowan jest od Matyasza Jawora, że mu poszedł precz, nie odrobiwszy, co mu dał na odrobienie.“ — W r. 1628 „pan starszy Jan Kozdroj dał w trybówkę towarzysza swego Masłka opatowskiego, że mu poszedł precz bez odprawy po godziech i dług wziął, co mu dał na suknie 80 gr.“ — W r. 1633 „Matyasz, bednarz, dał w trybówkę Marcina Guzowskiego, uczennika, że mu poszedł bez odprawy i wziął mu szablę i do skrzynki mu otwierał; gonił go do Tarnowa, ale go nie znalazł.“

Wyuczony i doświadczony towarzysz starał się o przyjęcie za brata w rzemiośle. Przychodził do zgromadzonego cechu z dwoma orędownikami, którzy się za nim wstawiali, prosząc o przyjęcie, okazując „listy od urodzaju“ i „listy od rzemiosła“, i składając „wstępne“ albo „nastalią“. Następnie robił „misteryjną sztukę“ *(Meisterstück)* i składał „sztuczne pieniądze“, a wkońcu „kolacyą sprawiał“ i składał wosk. Tak n. p. w r. 1553 „Walenty Spytkowski złożył do cechu 8 gr.; za sztukę dosyć uczynił; wosku winien 4 funty; a kolacyą ma czynić przy weselu.“ — W r. 1579 „w niedzielę przed św. Jadwigą przyjął bractwo kuśnierskie Jędrzej Kwaśny z Brzozowa. Dał sztucznych pieniędzy złp. 12, a kolacyą musi sprawić w tymże roku. Ręczyli za dosyćuczynienie cechowi naszemu: pan Stan. Ry-

---

[1]) Glejt od niem. Geleit — list żelazny, salvus conductus. Glejty były zabytkiem prawodawstw średniowiecznych w całej Europie. Wydawano je nie tylko przestępcom i obwinionym, ale i jako karty bezpieczeństwa podróżnym. — W księdze wydatków miejskich pod r. 1641 czytam: „Czeladzi wędrownej szewskiego rzemiosła kontentacyi według zwyczaju dało się 12 gr.“ Distributa f. 57.

[2]) Z niem. Wochenlohn — zapłata tygodniowa.

[3]) Trybować od niem. treiben — pędzić, gonić.

marz, Jan Kapucyn i Sebast. Slusarz.“ — W roku 1624 „uczciwy Matyasz Jaworek, towarzysz rzemiosła bednarskiego, dał wstępne przy bytności braciej wszystkiej, chcąc z nami bydź w społeczeństwie i braterstwie; a powinien wszystkie brzemiona i powinności odbywać, jako w sobie przywilej i uchwała cechowa opiewa. O hakownicę udaje się do łaski braterskiej.“

Na tych kolacyach wielką rolę odgrywały kołacze — placki okrągłe. Stąd bardzo logicznie w księgach bednarskich pisano „kołaczya“.

Majstrowie czyli bracia rzemiosła tworzyli odrębną społeczność o właściwym sobie ustroju, naśladującym ustrój miasta i całej Rzeczypospolitej polskiej. Bractwa rzemieślnicze, jak wszystkie stowarzyszenia, pomału doskonaliły swój ustrój, co się okazuje z wyborów z koleją czasu i w miarę wzrostu swego.

W r. 1548 sześciu bednarzy w Nowym Sączu założyło bractwo; przystąpili do nich niebawem stolarze, stelmachy i kołodzieje i obrano wspólnie dwóch cechmistrzów, którzy uchwalili „schadzkę co cztery niedziele w dzień poniedziałkowy, a kiedy który mistrz za cechą [1]) nie przyjdzie, albo się cechmistrzowi nie opowie, zapłaci grosz winy; kiedy kto na żałomszy nie będzie, grosz winy“ [2]).

Uchwała zaś z r. 1575 zastrzega: „Aby żaden nie śmiał targować i wykupować żadnej materyi, która należy do rzemiosła, pod winą 2 funtów wosku.“

„Któryby mistrz chodził do wsi kupować albo laski na obręcze albo drzewo wszelakie, będzie winien dać 2 funty wosku.“

„Któryby mistrz jeden z drugim grał w karty albo kostki, a powadzili się: winniejszy będzie winien dać 2 funty wosku, a drugi 1 funt.“

„Któryby mistrz grał z towarzyszem w karty albo kostki, będzie winien położyć 2 funty wosku, a towarzysz funt.“

„Któryby mistrz sam wynosił naczynie na rynek, albo sam nosił naczynie jakie w dom komu, winien będzie dać funt wosku.“

Wosk ten szedł na światło cechowe do kościoła.

---

[1]) Cecha z niemieckiego Zeche, Zeichen — znak, znamię, zapomocą którego zwoływano pojedynczych członków na gromadę czyli zebranie.

[2]) Oto dosłowne brzmienie tej uchwały podług ówczesnych zapisków: „Za tych czechmystrzow uchfała: zchodzka we styrzy nyedzyele w ponyedzyałkowy dzyeny; kiedy ktory mystrz za czechą nye przydzye albo sye czechmystrzowy nye opowye, tedy gros winy; kiedy kto na załomszy nye bedzye, tedy gros winy.“

W r. 1583 zapadła uchwała: „Którýby mistrz chłopca albo towarzysza odmówił, będzie winien półachtela piwa i 2 funty wosku.“

„Którýby nie przyszedł na schadzkę cechową, będzie winien kaźni 2 godziny.“

„Którýby przy cechowem piwie zwadę począł, powinien dać 2 funty wosku.“

W tymże roku cech kupuje smoły [1]) półosma kamienia, którą odprzedaje pojedynczym bednarzom po 2 złp. za kamień.

W r. 1584 uchwalono: „Którýby brat z drugim się pokłócił i słowo mu jakie nieprzystojne powiedział, będzie winien dać półkamienia wosku i 3 dni w kabacie [2]) siedzieć.“

Prócz starszych cechowych, t. j. dwóch cechmistrzów i dwóch braci stołowych, czyli „braci do skrzynki brackiej“, wybierali bednarze także po dwóch firów [3]), czyli chorążych do wszelakiej służby cechowej: do zbroi, do noszenia mar, do palenia świec i gaszenia tychże przy nabożeństwach brackich, do nalewania piwa przy schadzce cechowej, do deki [4]), do noszenia na cmentarz dzieci umarłych.

Król Zygmunt III, sprzyjając szczególnie wszystkim cechom sandeckim, jako instytucyi niemieckiej, zatwierdził również ustawy cechu bednarskiego *(contubernium artis lignariae)* 12. lipca 1604 r. w Krakowie, przez co położył mocną podwalinę do pomyślnego rozwoju jego [5]). Od tej doby bracia cechowi w miarę potrzeb lub wkradających się nadużyć, ustawy swe coraz to nowymi dodatkami uzupełniali i udoskonalali. I tak n. p. w r. 1606 wszyscy mistrzowie starsi społecznie tę uchwałę postanowili: „Którýby mistrz zastawiał z siebie odzienie na grę jaką w karty, winien będzie do skrzynki dać półkamienia wosku winy nieodpuszczonej i godzinę siedzieć w kaźni.“

W cechu bednarskim każdy pojedynczy majster miał swoje osobiste godło, czyli tak zwany gmerk [6]) *(Gemerk)*, który stawiał na równi z godłem herbowem rycerstwa, a również dbał o to, aby go

---

[1]) Smoły bednarzom dostarczali z poblizkich wiosek smolarze (picariatores); węgli zaś cechowi kowalskiemu węglarze (carbonistae).

[2]) Kabat — więzienie lżejsze w ratuszu.

[3]) Firowie od niem. Führer, wódz.

[4]) Deka — nakrycie z czarnego sukna, którem okrywano trumnę zmarłego lub katafalk na mszy żałobnej. Taka deka bywała nieraz z drogiej materyi. I tak n. p. szewcy w r. 1599 kupili na dekę aksamitu 15 łokci za 35 złp., do tego muchairu za 6 złp. 6 gr.

[5]) Act. Castr. Rel. T. 110. p. 519.

[6]) Na każdem naczyniu świeżo zrobionem wybijano gmerk.

nie splamić czynem niehonorowym. Tak n. p. w r. 1624 pan Dobrzechowski miał w swym gmerku literę M. z strzałką wystającą z pośrodka; pan Gąsior 3 strzały pochylone stojące do góry; pan Niedziela strzałę z ukośnym krzyżem; pan Gurka strzałę z podwójnem C. z boku równolegle obok siebie; pan Bartosz strzałę z kotwicą i ukośnym krzyżem; pan Kraczek literę W. z wystającym prętem nakształt litery K. u góry [1]).

Ustawy cechu kuśnierskiego *(contubernium artis pellionum)* zatwierdził Stefan Batory na sejmie warszawskim 21. lutego 1578 r. i ponownie Zygmunt III. dnia 15. czerwca 1593 r. w Warszawie. Kuśnierze co do zasady podobnie uchwalali, jak bednarze, widać jednak różnicę rzemiosła.

I tak w r. 1605 uchwalili bracia cechowi:

„Któryby brat kupił skórę starą drożej nad 9 groszy, a młodą nad 7 gr., takowego będą karać sześcią funtów wosku nieodpuszczonej winy. A któryby brat kupił za broną albo w bronie, pod tąż winą.“

„Któryby brat się zmówił z chłopcem i kazał co sobie nosić, a był wyświadczon u rzeźnika albo u kijaka [2]), pod tąż winą.“

„Aby się żaden nie ważył przedawać marlice [3]) do korzucha, tylko marlice niech będą osobno, żeby nie było oszukania w robocie, pod winą 6 funtów.“

W r. 1612 uchwalono: „Żeby się żaden czeladnik nie ważył skór swoich kłaść do kwasu więcej niż 4, kiedy półkopy skór umoczy mistrz.“

„Gdzieby się pobił brat z bratem w mieście, zapłaci półkamienia wosku; a gdyby na jarmarku, tedy kamień wosku.“

W r. 1618 „za ekscesa, które czynił w cechu Grygier kilka razy, panowie bracia postanowili: aby podczas sprawy cechowej do sieni ustąpił. A gdyby piwo cechowe było, aby na słomie siedział.“

W r. 1625 „zezwolili się bracia tak starsi jako i młodsi, żeby żaden nie ważył się wolnego poniedziałku i pod jesień gotowych serdaków dawać w podarunku.“

---

[1]) Księgi cechu bednarskiego z lat 1548—1684. — Bednarze doleatores, stolarze mensifices, stelmachy currifices, kołodzieje rotifices, tokarze tornatores, snycerze sculptores, szklarze vitreatores, kopijnicy hastarii, cieśle carpentarii.

[2]) Rzeźnicy z wiosek poblizkich, zwani kijakami (advenientes laniones alias kijaki), bo na kijach sprzedawali mięso.

[3]) Marlice, marlina — zdechlina, skóra z zdechlaka. — W roku 1626 obwoływano w Sączu „aby kijacy nie wozili marliny do miasta na targi, jedno żywcem wodzili, bo bydło miejscami odchodziło“ (zdychało).

W r. 1626 zapadła uchwała: „Kiedy do cechu przyjdą kuśnierki, aby też nie podsiadała młodsza starszej. Niechaj powie każdej mąż doma, która podle której ma siedzieć, jako sami siadamy“ [1]).

„Któryby brat nie powiedział żonie swej, a przyszłaby do cechu na piwo braterskie; a nie posłali po nią, tedy mu przepada 4 funty wosku.“

„Aby żaden brat nie dozwalał robić tak partaczom, jak partaczkom, pod winą półkamienia wosku.“

„Postanawia się cena skór: czarną starą 24 gr., młodą 18 gr.; białą starą 20 gr., młodą 15 gr. Któryby się brat drożej ważył kupować, kamień wosku winy przepadnie.“

„Kiedy schadzka albo piwo braterskie, młodsi bracia aby stali przed stołem. Któryby brat odszedł od piwa, przepada mu 6 funtów wosku.“

W r. 1629 „panowie bracia upatrzywszy szkodę i utratę, którą przez nierząd cech ponosi, przychylając się do ustawy Imci pana podwojewodzego, uchwalili: Żeby żaden brat nie ważył się kupować skór na rynku, ani w ulicy, ani w bronie, ani w domu, ani na wolnicy [2]) przez wszystek tydzień, krom dwóch braci na to deputowanych: Stefana Cholewicza i Wojciecha Lakslarowicza. A któryby się ważył albo żona jego, takowy winy da 10 grzywien panom rajcom spólnie z cechem, krom jarmarku.“

Skrzynka cechowa kuśnierska mieściła w sobie skarb braterski, o wiele znaczniejszy w porównaniu z innymi cechami, a to wskutek obyczaju, że nie pojedynczy brat, lecz cały cech wraz towar kupował. W r. 1598 wraz z długami u braci mieli kuśnierze w skrzynce brackiej 137 złp. 15 gr. Skarb bracki zasilały czasami zapisy pośmiertne. I tak n. p. w r. 1638 Walenty Szałwia, kuśnierz, zapisał cechowi 100 złp., „aby na każdy kwartał po kopie od nich dawszy, obracali tę kopę na *pia opera* za jego duszę“ [3]).

Pojedynczym braciom pożyczano pieniędzy na mały popłatek, skąd mienie cechowe rosło. Komu nie dowierzano, musiał złożyć za-

---

[1]) Po dziś dzień kuśnierki w niektórych miastach biorą czynny udział w rzemiośle, barwisto wyszywając kożuchy, lub przewłócząc barwistymi rzemykami. Za ten trud, zdaje się, miały dawniej prawo uczestniczyć w braterskich biesiadach.

[2]) Wolnica (liberum forum) była na korzyść pospólstwa, czyli wolno było obcym przybywać i sprzedawać towary, zwłaszcza mięso, skóry itp. Stąd to wyrażenie: jarmark z wolnicą czyli sprzedażą przez obych. W Krakowie dotąd miejsce takiej sprzedaży zwie się: „na wolnicy“.

[3]) Act. Scabin. T. 55. p. 723.

staw. I tak w r. 1593 Librant za 12 złp. zastawił nożenki srebrne z nożami i łańcuchem srebrnym. — Zabłotny za 20 złp. zastawił bramkę [1]) perłową i pasek srebrny pozłocisty. — Rodzicki w roku 1595 za 4 złp. zastawił do tygodnia uzdę srebrną pozłocistą. Tegoż roku kupili bracia królików 3.688 za 70 złp.

Pożyczanie pieniędzy i pokwitowanie zapisywano w rejestra cechowe pod rubryką osobną. Tak n. p. pod rokiem 1628 w księdze kuśnierskiej czytam: „My bracia wszyscy zeznajemy, żeśmy winni spólnie złp. 521 za towar, tak jako który brat brał wedle rejestru. Którą sumę obligujemy się oddać, nie ociągając się nijakiemi odwłokami prawnemi, fantami; zachowawszy tę kondycyą, że Boże uchowaj na którego z nas śmierć, tedy rękojmia tego długu powinna doglądać, beż żadnej odwłoki do skrzynki takową sumę oddać. A któryby brat na czas naznaczony nie oddał, takowy bez wszelakiego postępku prawnego powinien będzie *ex nunc* do więzienia iść, z którego więzienia nie wyjdzie dotąd, aż takowe pieniądze odda.“

Największą uroczystością cechową były wybory cechowe. Jako wojenna szlachta króla, miasta swych wójtów i burmistrzów; tak podobnie z jak największą uroczystością każdy cech obierał swą starszyznę, wezwawszy wprzód pomocy Ducha św. przy mszy wspólnej wotywnej, na której czasami skrzypkowie grali.

Po wyborach następowała „wyborowa kołaczya“. W r. 1588 wydali na nią kuśnierze: za ćwierć mięsa 23 gr., za półcielęcia 9 groszy i szeląg, kur dwoje 4 gr. i szel., prosię 4 gr., jaja 1 gr., chleb 5 gr., ziele białe [2]) 6 gr., pietruszka 2 szel., świece $^1/_2$ gr., półachtela piwa 20 gr., faska piwa 11 gr.

W roku zaś 1630 wydano: za parę szczuk świeżych 24 gr., sandacz słony 1 złp. 3 gr., lwowska ryba [3]) 1 zł., węgierska ryba 49 gr., miodownik [4]) 6 gr., pieprz 3 gr., szafran 3 gr., oliwa 6 gr., chleb 12 gr., bułki 3 gr., obwarzanki $1^1/_2$ gr., piwa achtel 4 złp., półachtel 2 zł., chrzan 1 gr., ocet 3 gr., cebula i pietruszka 2 gr., świece 5 szel.

Kuśnierki, jak się powiedziało wyżej, chadzały do cechu na brackie piwo i kołaczye. Miały też osobnego krajczego swego, którego wyłącznym obowiązkiem było: Przy kołaczyi krajać przed białogłowy, podczas kiedy inny był do kołaczów ogółem. Krajczy taki

---

[1]) Brama, bramka — listwa u szaty, obłoga, galon.
[2]) Ziele białe — czosnek.
[3]) Lwowska ryba — wyzina i szczupaki.
[4]) Miodownik — ciasto miodem przyprawne, piernik.

istniał już w 1598 r., a krajczy ogółem jeszcze wcześniej. Kuśnierki pijały piwo cienkie zielone, kuśnierze zaś gęste. Jeszcze w r. 1604 uchwalono, aby się żaden nie ważył za próg piwa wynosić, ani częstować bez dozwolenia starszego. Nalewaniem piwa trudnili się młodsi bracia, wyznaczeni do posług cechowych [1]).

Nazajutrz po wyborach odbywano zwykle żałomszę za nieboszczyków braci rzemiosła. W roku 1639 dano księżom od *Requiem* 12 gr., kantorowi 6 gr., muzykantom 18 gr., organiście 10 gr. Poczem odbywała się schadzka czyli gromada, na której albo nowe uchwały zapadały, albo też zatwierdzano dawne. Bez półachtela piwa i pieczeni nie obeszło się nigdy. Podobne żałomsze odbywały się przed każdą gromadą. Mianowicie odbywały się żałomsze kwartalne, a panowie bracia na wzór rajców dostawali kolędę, zwykle półachtela piwa [2]). Wogóle zwyczajem Niemców i wszystkich polskich miast, rzemieślnicy sandeccy w XVII. wieku wypijali wielką ilość piwa.

Podobnie rozwijały się i urządzały się wszystkie bractwa rzemieślnicze, stosownie do właściwości rzemiosła swego. Każdy zaś cech miał swoje światło woskowe, z którem występywał na uroczystościach kościelnych. Świece te sporządzały zwykle mniszki Kletki, mieszkające obok kollegiaty, biorąc w r. 1627 od funta wosku 1 gr. Dla starszych cechowych były świece malowane, a od pary takich płacono im w r. 1633 za robotę 6 gr. Sami bednarze mieli w r. 1615 w skrzynce braterskiej świec 53.

Jaki wogóle duch wiał z tych bractw rzemieślniczych w XVII. wieku, uczą przedewszystkiem ustawy ich, spisane i stwierdzone od urzędów tak miejskich, jako i królewskich. Przytoczymy tu niektóre ustawy w dosłownem brzmieniu, by snadź nie zaginęły wraz z szczątkami spleśniałych i napół przegnitych aktów.

Artykuły cechu szewskiego, rymarskiego i siodlarskiego z 20. maja 1602 r.

1) Aby żałomsza w poniedziałek bywała, a któryby z cechmistrzów na niej nie był, zapłaci funt wosku.

2) Aby żaden z mistrzów sam jeden nie śmiał skór tak małych, jako i wielkich u rzeźników kupować, jedno samowtór z drugim mistrzem i to za zezwoleniem drugich mistrzów starszych stołowych pod kamieniem wosku.

---

[1]) Zwyczaje te cechowe kuśnierze w Starym Sączu jeszcze po dziś dzień w części zachowują, a brackie piwo każda kuśnierka przenosi nad wszelkie zabawy — taka tam wesołość i ochota.

[2]) Księgi cechu kuśnierskiego z lat 1570—1697.

3) Aby się nikt nie ważył czeladzi odmawiać od mistrza, gdy pocznie robić, nim wynidą dwie niedziele, ale u tego mistrza ma robić pod funtem wosku.

4) Każdy z mistrzów, gdy misterią przyjmuje, aby miał list od urodzenia.

5) Aby żaden nie śmiał kupować dębu [1]) przedtem niźli otworzą jatkę, tylko jeden worek, a w dni święte aż po mszy pod funtem wosku.

6) Żaden mistrz aby nie śmiał przed miastem skór tak wielkich, jako i małych kupować pod zakładem 2 funtów wosku.

7) Który z mistrzów nie będzie za cechą w cechu, zapłaci funt wosku.

8) Którzyby z mistrzów nie był na pogrzebie, zapłaci funt wosku.

9) Którzyby wynosił tajemnice cechowe, takowy przed wszystką gromadą ma stać w dzień i w nawiętszy mróz i funt wosku ma zaraz dać.

10) Gdyby mistrz targował na wozie skórę a samby ją zdjął z wozu albo niósł do domu, zapłaci 2 funty wosku.

11) Uczeń, który się chce uczyć, ma dać do cechu do skrzynki 30 groszy i 2 funty wosku.

12) Mistrzowie wszyscy zezwolili, jeśliby mistrz który grał w karty z towarzyszem, 2 funty wosku nieodpuszczenie zapłaci. A kiedy z uczniem 4 funty nieodpuszczonej winy.

13) Komu ciało każą nieść umarłego człowieka, a omieszka albo nie będzie chciał nieść, funtem wosku zaraz ma bydź karan; a tam się mają zejść przed dom zmarłego pod winą 2 funtów wosku.

14) Aby żaden z mistrzów na kutlofie zamawiać skór nie ważył się pod winą 4 funtów wosku.

15) Którzyby z mistrzów nie opowiedział czeladnika swego, żeby nie robił w dzień poniedziałkowy, 2 funty wosku przepada nieodpuszczonej winy.

16) Z strony bykowego [2]), którzyby się takowy znalazł bez żony z mistrzów, aby achtelem piwa był karany.

---

[1]) Dąb — tak nazywano korę z drzewa, używaną do butów, wkładaną w napiętki.

[2]) Bykowe — pierwotnie opłata do dworu za uwiedzenie dziewki, tu kara za przebywanie w bezżeństwie. Wzmiankę o podobnej karze napotykam także w ustawach cechów tarnowskich, kościańskich, a nawet poddanych włości tucholskiej.

17) Towary, które należą do rzemiosła, aby były kupowane i braciej przedawane; ażeby chowane były na wieży i tamże ważone przy jednym mistrzu stołowym a drugim młodym.

18) Aby żaden stary mistrz przy młodych także i gromadzie nie był karany.

19) Piwa aby żaden z mistrzów, gdy jest piwo brackie, nie śmiał wynosić bez woli mistrzów stołowych, także i starych mistrzów.

20) Z strony czeladzi, u którego mistrza znalazłoby się trzech, czterech i więcej, powinien bratu drugiemu potrzebującemu użyczyć pod winą mistrzowską.

21) Z strony roboty przedawania, gdyby się znalazła zła robota u którego mistrza, takowa przy wszystkiej gromadzie ma bydź approbowana.

22) Z strony zbroi zbierania, aby było wolno mistrzom młodym służącym w niej pachołka godnego obierać, a gdy co zepsuje, powinien dać naprawić.

23) Z strony poswarków mistrzowskich, gdzieby którykolwiek z mistrzów bądź słowem uszczypliwem, bądź też czem innem jeden naprzeciw drugiemu przewinił, ma bydź karany 4 funty wosku winy nieodpuszczonej.

24) Długi wszelkie, któreby się znalazły między bracią, aby były oddawane przed wyborem pod winą mistrzowską.

25) Któryby z mistrzów zadawał na skóry gdziekolwiek, takowy mistrz półkamieniem wosku ma bydź karany winy nieodpuszczonej.

26) Któryby z młodych mistrzów świec przepomniał palić albo omieszkał, takowy funtem wosku ma bydź karany.

Te artykuły uchwalone przez mistrze stare i wszystkę gromadę, approbowane przez mistrze stołowe, mają mieć moc i wagę swej mocności przez przywilej utwierdzony od Jego Królewskiej Mości najjaśniejszego króla polskiego Stefana Batorego [1]).

Cech szewski, liczebnie jeden z największych w Nowym Sączu, urządzał corocznie z niemałą wystawnością uczty cechowe i nabożeństwa brackie w kościele Norbertanów, jak świadczą przechowane dotąd zapiski. I tak pod rokiem 1604 czytam: „Daliśmy przy wyborze za 4 achtele piwa 6 złp. 12 gr., na pieczeń 2 złp. 3 gr., śrotarzom od przyniesienia piwa 8 gr., muzyce 8 gr.“ — W r. 1630 „na kolacyą wyborową dla panów braci ze wszystką gromadą, na potrzeby do kolacyi należące, wydaliśmy za 3 achtele piwa 12 złp.,

---

[1]) Laudum totius contubernii artis sutoriae die 20. maji 1602

na żałomszę księdzu i kantorowi po tymże wyborze 18 gr." — W r. 1639 na podobną kolacyę wydano 36 złp. 4 gr.

Do stałej rubryki, powtarzającej się corocznie, należało: Od żałomszy księdzu i kantorowi 18—21 gr.; od żałomszy żakom szkolnym, co śpiewali, 2 gr.; bakałarzowi od *Requiem* 2 gr.; kaznodziei kwartalnie 2 złp. 8 gr.: kaznodziei od wymienienia zmarłej braci na ambonie 16 gr.; kantorowi od litanii w czasie 40 godzinnego nabożeństwa 15 gr.; za świeczki do nabożeństwa 40 godzin u św. Ducha 10—15 gr., u fary 1 złp. 6 gr.; na nabożeństwo w dzień św. Kryspina i Kryspiniana [1]) Ojcom do św. Ducha z muzyką 3—4 złp.; za 2 pary butów do zamku panu podwojewodzemu 4—6 złp.

Prócz tego notowano stale wydatki: na ołów, kule, lonty, robienie ładunków, na wosk, na świece łojowe do baszty cechowej, na naprawę hakownic, muszkietów, pałaszów i innych zbroi. W r. 1616 kupiono 2 hakownice długie za 16 złp., a od naprawy dwóch innych dano ślusarzowi 4 złp. Prócz tego zapisywano wydatki na oliwę do szpikowania zbroi, na piwo armatnie dla braciej cechowej, na kadzidło przy nabożeństwie, za wycieranie zbroi na Boże Ciało; nadto mniszkom Kletkom od robienia świec woskowych i od malowania roratnych, na kolędę sługom miejskim i dzwonnikom. W roku zaś 1655 zanotowano: „Dzwonnikowi od zachowania prochu w kościele 1 złp. 6 gr." Nakoniec wydatki na chędożenie zbroi, na jałmużny kościołom i klasztorom, a nawet honoraryum organiście za usługę przy nabożeństwach i pisarzowi cechowemu.

Proch do armaty cechowej sprowadzano zwykle z Grybowa i płacono zań w r. 1633 za jeden kamień 8 złp. 20 gr.; w r. 1640 18 złp., w r. 1656 21 złp., a w r. 1657 złp. 25.

Przy corocznym wyborze cechmistrzów i braci stołowych zdawano sprawę z pieniędzy w skrzynce brackiej będących. Tak n. p. w r. 1629 było w skrzynce pieniędzy gotowych 40 złp., na długach zaś między bracią 36 złp. 15 gr., wosku na długach 30 funtów, wosku gotowego 6 funtów. — W r. 1637 pieniędzy gotowych 44 złp., w fantach 6 złp., na długach pieniędzy u braci 30 złp. 15 gr., wosku na długach u braci 12 funtów. — W roku 1644 gotowych pieniędzy 100 złp., na długach u braci 17 złp. 16 gr., wosku na długach u braci 9 funtów. Dodajmy do tego zapis 150 złp. Marcina Samborczyka z r. 1625, tudzież 100 złp. Doroty Pasionkowej z r. 1647,

---

[1]) Dzień św. Kryspina i Kryspiniana obchodzi Kościół rzymski 25. października i czci ich jako patronów szewskich.

a przekonamy się, że majątek cechu szewskiego wzrastał z każdym rokiem [1]).

Podobne ustawy i zwyczaje istniały w cechu krawieckim *(contubernium sartorum)*, zatwierdzonym przez Zygmunta III. w Krakowie 14. kwietnia 1603 r. Urodzenie z katolickich rodziców było niezbędnym warunkiem przyjęcia do cechu. I tak n. p. w r. 1613 „przyszedłszy do cechu naszego krawieckiego pan Stan. Siedlecki i pan Marcin Wągiel, zeznali pod przysięgą, podniosłszy dwa palce, iż pan Majcher Librant jest spłodzony podług kościoła św. katolickiego, z ojca Majchra Libranta, mieszczanina i rajcy sandeckiego, z matki Katarzyny Ribczańskiej z Kleparza.“ Z początkiem jednak XVII. wieku przyjmowano do cechu krawieckiego także członków aryańskiego wyznania, jak o tem w rozdziale VII. tomu I. szczegółowo nadmieniłem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

[1]) Księga cechu szewskiego z lat 1592—1693 in folio. — Szewcy sutores, rymarze corrigiatores, siodlarze sellatores.

ZARYS POJĘĆ O NARODZIE.

(Ciąg dalszy).

Ani jeden, ani drugi nie mogą być uważani za przedstawicieli romantyzmu, pomimo pewnego wpływu, jaki szkoła owa, budząca się w ich epoce za przewodem Bürgera na nich wywarła, odbijając się znamieniem przelotnem na niektórych utworach. Zupełnie samoistni, stoją oni oddzielnie, uosabiając w sobie ducha czasu we wszelkich jego odcieniach. Pierwszy z nich był odbiciem owej olbrzymiej fali przewrotu pojęć społecznych, jaka się z Francyi w wieku XVIII. szerzyła. Jest on rewolucyonistą w swych myślach, zobrazowanych wspaniałymi dramatami, a rewolucyjność ta jego tkwi w pewnej negacyi tych warunków społecznego bytu, jakie miał przed oczami. W rozgłośnym n. p. dramacie *Zbójcy* leży gorący protest przeciwko urządzeniom społecznym, wypowiedziany przez jedną z głównych postaci — Karola Moora i jego towarzyszy, organizujących się w bandę rozbójników „w imię wolności“. — *Intryga i miłość* jest podwójnym protestem, gdyż z jednej strony uderza w przesądy i tamy, dzielące klasy społeczne, między sobą, a z drugiej przedstawia obraz nikczemności panującego księcia, który sprzedaje obcym mocarstwom pułki swych wojsk na zupełną własność, kupczy krwią i mieniem swych poddanych, aby obsypać najkosztowniejszymi podarkami swą metresę. Ten sam protest przeciwko monarchii absolutnej i całej jej hiszpańskiej grozie z czasów Filipa II., zawarty jest w dramacie *Don Karlos*, — ta sama zasada walki przeciwko rządom narzuconym przeprowadzona w dramacie *Sprzysiężenie Fiesca w Genui* w połączeniu z ujemną stroną sprzysiężeń, których przywódcy, jak bohater owego dramatu, rozpocząwszy walkę z tyranią, ulegają popędom nurtującej ich żądzy osobistego wyniesienia się i pochwycenia książęcego berła w swe własne ręce, — wreszcie ta

sama myśl walki o wolność w *Wilhelmie Tellu*, postawiona swemu własnemu narodowi, jako godło prawdziwego postępu. Czytając te wspaniałe dramata, dziwić się tylko należy, że naród, który w rzędzie swych największych poetów miał tak gorącego, jak Szyller, rzecznika wolności, tak mało w dziejach swych następnych uwydatnił ową zasadę. — Drugi poeta niemiecki, Goethe, skończony i potężny geniusz, łączący w sobie powagę starogreckiego klasycyzmu z bujną i śmiałą fantazyą niczem niehamowanej myśli, sięgającej swym polotem w najdalszą sferę niezgłębionych zagadnień metafizyki, zdumiewający, jak Szyller, swą wielostronnością, rzucił w swych utworach niepożyte podstawy gmachu twórczości prawdziwie narodowej, uwydatniając w nich z niepospolitą siłą pierwiastki rodzime. Jego *Götz von Berlichingen* — to świat starego niemieckiego życia, odwzorowany w całej swej dziejowej prawdzie mistrzowskimi konturami. Niemniej niemieckim jest *Faust* ze względu na swe tło wybitnie narodowe, pomimo, iż ma znaczenie wszechludzkie zasadniczej spoczywającej w nim idei. Wreszcie *Herman i Dorota* — ta cicha i spokojna sielanka na tle świata małomiejskiego wniosła do poezyi po raz pierwszy obrazowanie życia w rodzinnem społeczeństwie współczesnej autorowi doby, wzbogacając świat ideałów plemiennych już nie wspomnieniami przeszłości dziejowej lub legendarnej, lecz zaczerpniętymi w najbliższem, żyjącem otoczeniu dodatnimi pierwiastkami istnienia narodowego. Świeci w niej miłość kraju i własnego społeczeństwa, a myśl jej przewodnią temi słowami streszcza poeta w zakończeniu poematu:

Śród wstrząśnień ogólnych
Stójmy mężnie przy sobie i przy tem wszystkiem, co nasze;
Bo kto w czasach niepewnych niepewno myśli i działa,
Ten pomnaża złą dolę i szerzej ją tylko roznosi;
Lecz kto stałą się wolą kieruje, ten świat sobie tworzy.
Nie przystoi nam dziś na fale przewrotu się ważyć:
To, co nasze, trzymajmy; bo chwała narodom, co dzielnie
Bronią Boga i prawa, rodziców, żon swych i dzieci [1]).

Niezależny więc zupełnie od romantyzmu zwrot poezyi ku narodowi, ku jego najbardziej konkretnym, widomym, teraźniejszym formom bytu musiał pchnąć oświeconą ludzkość na nowe tory poszukiwania siły i doniosłości tych mianowicie żywiołów składowych uspołecznienia krajowego, które w danej chwili tworzą oddzielny od

[1]) Herman i Dorota. Przekład L. Jenike'go. Warszawa 1872, str. 59 i 60.

reszty swą całością byt narodowy. To było powodem, że wykształceni w tej dobie poeci (poemat „Herman i Dorota“ ukazał się w r. 1797), a wśród nich ci nawet, jak u nas Brodziński n. p., na których nie znać wcale wpływu romantyzmu, zwrócili się do rodzimych, ludowych pierwiastków, poszukując w tych ostatnich realnej podstawy samoistnej kultury duchowej. Zwrot ten stawał się powszechną potrzebą, poszukując już w wieku XVIII. reprezentantów i apostołów nietylko w geniuszach, wyprzedzających swą epokę, lecz i w wybitniejszych mężach owego czasu. Najznakomitsze umysły zaczynały być jego rzecznikami, a niemałą pobudką w tej mierze były wydane w Edynburgu w owej epoce (1760) przez Macphersona (nieautentyczne bynajmniej, jak się później okazało) sławne pieśni Ossyana, zawierające w sobie skarbiec ludowych podań szkockich. W krótkim czasie zwróciły one na siebie uwagę ogółu nietylko angielskiego, lecz i w Niemczech zarówno powitane były z prawdziwem uniesieniem. Propagatorem ich w Niemczech był głęboki filozof i myśliciel, Herder (1744—1803). Pochwycił on silnie sztandar nowych prądów, pobudzając i zachęcając współczesny świat literacki do badań nad ludem i do czerpania z podań ludowych treści dla odświeżenia i wzmocnienia bytu społeczeństw, a odtąd badania i poszukiwania tradycyi narodowych wśród ludu zaczęły się rozwijać we wszystkich krajach, tworząc zastępy niezmordowanych i namiętnych zbieraczy, którzy, jak u nas Chodakowski, pieszo w chłopskiem przebraniu, przebywali ogromne przestrzenie, wędrując od wsi do wsi dla pochwycenia z ust ludu legend, pieśni i podań rodzimych.

Jednocześnie bodźcem silnym i potężnym do rozwoju w poezyi, literaturze i sztuce indywidualizmu narodowego był zainaugurowany w Niemczech ku końcowi wieku XVIII. romantyzm ze swą wybujałą następnie, oddzielną szkołą, powstanie i rozwój której datują w dziejach literatury od ukazania się trzech wybitnych przywódców rzeczonego kierunku. Byli nimi: dwaj bracia Schlegel'owie, August Wilhelm i Fryderyk, oraz Ludwik Tieck.

Czemże był w swej istocie romantyzm i ku czemu dążył? Był on jaskrawą formą opozycyi przeciwko przestarzałemu i zmurszałemu pseudoklasycyzmowi. Hasłem tej opozycyi był śmiały polot niekrępowanej żadnemi ciasnemi formułami fantazyi. Dla celów swych romantyzm posługiwał się żywiołami najmniej podobnymi do wzorów, poczytywanych przez dotychczasową klasyczną poetykę za szczytne. Do zmiany sfery działań poetyckich nadawała mu obszerne pole cudowność, nadprzyrodzoność, fantasmagorya, tkwiąca w starych średniowiecznych legendach i podaniach. Ponieważ świat śre-

dniowieczny znanym był ogółowi mniej z dziejów a więcej ze starych romansów rycerskich, początek których powstał kiedyś z pieśni, sięgających epoki świata tak zwanego romańskiego ze swym oddzielnym, znikłym w czasach późniejszych językiem romańskim — pieśni, przedmiotem których były bohaterskie czyny Karola Wielkiego i jego rycerzy (Orlando i inni) — upatrywano przeto w nowym zwrocie poezyi niemieckiej cechę wspólną z owymi romansami, w których cudowność i element czarodziejski były w pomieszaniu z wojowniczemi i miłośnemi przygodami bohaterów. Wiadomo, że na tle tych romansów rycerskich, pisanych tak wierszem, jak prozą, których we Francyi zwłaszcza i Włoszech było sporo w w. XIV. i XV., stworzył Aryost swego Orlanda, ową sławną epopeję, zapełnioną obficie nadprzyrodzonemi zjawiskami oraz postaciami czarodziejów, potworów, topielców i duchów rozmaitego rodzaju. Drugim wielkim poetą, który również czerpał natchnienie w skarbnicy romansów rycerskich, był wiekopomny Torquato Tasso, autor Jerozolimy wyzwolonej — epopei, w której czarodziejski żywioł z równą prawie, jak u Aryosta potęgą, roztoczony jest przed wyobraźnią czytających. Oba te poematy napisane w wieku XVI. za czasów humanizmu, z których pierwszy jest niepospolicie pięknym w swych epizodach a drugi układem zarówno całości, jak i scen oddzielnych — poematy, odziane w szatę formy klasycznej, pozyskały ogromny rozgłos i wziętość, znane były wszędzie w innych krajach i w zbiorze ogólnym skarbów poetyckich, przetrwały w żywej pamięci następnych pokoleń, streszczając w sobie i zachowując tradycye świata romańskiego.

Ową tradycyę romanskości średniowiecznej — romantyzmu — porównano z kiełkującym nowym zwrotem poezyi niemieckiej i przeniesiono na nią nazwę romantyzmu, jakkolwiek pomiędzy nią a dawnym romantycyzmem zachodziła wielka różnica. Romańskość bowiem średniowieczna cel swojej sztuki widziała w przedstawieniu bohaterstwa rycerskości i celem tym zbliżała się mocno do ideałów sztuki klasycznej. Znakomici jej włoscy piewcy XVI. wieku przesunęli tylko sferę działania ze świata starożytnego w wieki rycerskości, zamiast zaś nadprzyrodzonego działania bogów lub półbogów starożytnej mitologii, wprowadzili w epopeję świat nadzmysłowy pojęć średniowiecznych z czarodziejami, ogrodami zaczarowanymi, zaklętymi zamkami i t. p., nadając przytem zbyt silny, przy gorącym swym włoskim temperamencie, zakres owej cudowności. W nowym zwrocie i kierunku poezyi niemieckiej przejawiała się nie dążność do wyszukiwania czynów bohaterstwa i idealizowania onego, lecz

żądza odzwierciedlenia średniowiecznego życia wraz z jego urojeniami i wizyami. Była w nim rozlana szczególnej siły marzycielska tęsknota za dziejami dawno zamierzchłej doby i ona to w magiczny sposób oddziaływała na serca i umysły ludzi współczesnych. A jakkolwiek pod wpływem tego kierunku wpadała nieraz rozbudzona imaginacya w chorobliwy nastrój utworów, przepełnionych widziadłami, marami i upiorami, — niemniej jednak główne znamię tęsknych porywów ku zamglonej przeszłości pozostawało zawsze zbyt wybitnem i silnem, górując ponad wszystkiemi zboczeniami tak zwanej romantycznej twórczości.

Zadziwiającym był w istocie duch ożywczy, który pod wpływem owej niemieckiej szkoły owionął narody europejskie, podniecając ich twórczą działalność na polu poezyi i wytwarzając w każdym prawie oddzielnym kraju znamiona odrębne.

W Anglii, gdzie literatura oddawna już wkraczała w obręb życia narodowego i gdzie tradycyę zamierzchłej przeszłości kraju ojczystego, jak wspominaliśmy, silnie poruszył w XVIII. wieku Macpherson, — romantyzm wywołał zjawiska wielce podobne do tych, które pod jego wpływem wynikły w Polsce. W poezyi polskiej po raz pierwszy wystąpiły z wielką mocą pierwiastki litewskie i ukraińskie (Mickiewicz, Zaleski, Goszczyński i in.) — owe zaniedbane dotychczas składniki bytu dziejowego narodu, tkwiące w etnicznych odrębnościach prowincyi. W poezyi narodowej angielskiej na większą jeszcze skalę i z bez porównania większą siłą zadrgały uśpione i na pół zamarłe żywioły przeszłości szkockiej (Burns, Walter Scott) oraz irlandzkiej (Moore). W obu tych krajach rażąco te do siebie podobne wyniki zwrotu ku przeszłości dziejowej stanowiły wymowny i przekonywający dowód rozbudzonej potrzeby samopoznania narodowego, które musi się najniezbędniej opierać na dokładnem zbadaniu, ocenieniu i uświęceniu tych wszystkich różnoplemiennych pierwiastków, które drogą uspołecznienia wsiąkały w ogólny byt narodowy. W Anglii nadto romantyzm, przenosząc polot myśli ku średnim wiekom w dziedzinę romansu historycznego pod wpływem potężnego talentu W a l t e r S c o t t a, wzmocnił jeszcze bardziej prąd ogólnoeuropejski ku przeszłości, — prześliczne bowiem jego powieści rozeszły się po całym świecie w przekładach i rozchwytane zostały przez ogół czytający w niebywałej dotąd liczbie egzemplarzy. Czytano je z zapałem wszędzie, przenosząc się z upodobaniem w obrazy rycerskiej przeszłości obcego narodu, a drogą naturalną kojarzenia się idei, w myśli i sercu obcego czytelnika musiał budzić się poped i tęsknota ku badaniu swojskiej, domowej przeszłości, która nęciła

ku sobie bądź świetlanym blaskiem dawno minionej chwały, bądź tajemniczością jej różnobarwnych a niezgłębionych dotąd jak należy odcieni społecznego bytu.

Równie dodatni wpływ wywarł prąd owej romantycznej doby na Skandynawię. W Danii jego przedstawicielem był sławny narodowy poeta, Oehlenschläger, który ożywił literaturę swego kraju gorącym duchem miłości ojczyzny. W Szwecyi pod tchnieniem nowego prądu był sprawcą odrodzenia literatury tamecznej jeden z najgorętszych zwolenników romantyzmu, Izajasz Tegner. Jego znakomity poemat „Frydhjofowa saga“, wzorowany na pieśniach Ossyana i osnuty na tradycyjnych narodowych opowieściach skandynawskich, w całej Europie znany i tłómaczony na wszystkie języki, wzbudził w ojczyźnie poety prawdziwy entuzyazm. Ogół rozchwytywał chciwie wspaniały ten utwór narodowego eposu, a pieśni w nim zawarte przeszły w usta ludu. Wszędzie w innych krajach stał się on zarazem najpoczytniejszym poematem, pociągając ku sobie niezwykłym urokiem świata zamierzchłego, tak mało znanego dotąd poza obrębem Skandynawii. W tej samej epoce, prawie jednocześnie z wystąpieniem Tegnera, zapanował w Skandynawii olbrzymi ruch, ujawniający się w opracowywaniu skarbów dziejowych, zawartych w sagach — dziejowych legendarnych opowieściach. Pomniki te i zabytki tradycyi dziejowej, pochodzące z XII. i XIII. w., rzucały światło na zdarzenia o kilka wieków od nich samych wcześniejsze. Poznano, iż ze względu na niezmiernie ważne dla Europy znaczenie najazdów normandzkich, poczynających się od końca VIII. wieku, rezultatem których było ugruntowanie władztwa skandynawskich wikingów w bardzo wielu krajach, z tych tylko oddalonych tradycyi skandynawskich czerpać można wskazówki, rozjaśniające zbyt skąpe i niejasne szczegóły o normandzkich i waregskich najeźdźcach, jakie się przechowały w średniowiecznych źródłach kronikarskich. W owym też czasie ten nowy kierunek badań, ku któremu u nas gorliwie zachęcał mąż olbrzymiej wiedzy, Tadeusz Czacki, stał się przedmiotem skrzętnych zabiegów i pracy. W r. 1816 wszystkie ważniejsze sagi skandynawskie złączył i wydał w jednym zbiorze Piotr Erazm Müller (Sagabibliotek), profesor uniwersytetu w Kopenhadze; następnie w czasie późniejszym krytyczne prace historyków-archeologów, a mianowicie Rafn'a, Finn-Magnusena, Sigurdssona, Snorrasena, Egilssena oraz innych uczonych Duńczyków i Irlandczyków, wnosiły w zakres historyi

nowe i niezmiernie ważne fakta, rzucające zupełnie inne światło na odległe dzieje dawno minionej doby [1]).

W Rossyi, gdzie o objawach życia narodowego z małym wyjątkiem dziejów Rusi nowogrodzkiej i pskowskiej, nie może być najmniejszej mowy, powiew romantyzmu niemieckiego wytworzył w osobie Żukowskiego tak ścisłego, wiernego i niewolniczego prawie naśladowcę, kopistę i tłómacza niemieckich piewców owej doby, a mianowicie: Uhlanda, Bürgera, Chamisso i tylu innych, jakiego w innym kraju niepodobna nawet znaleźć, gdyż wszędzie gdzieindziej romantyzm poruszał z uśpienia drzemiące i utajone dotąd pierwiastki odrębnej narodowej twórczości, których tu brakowało. Pomimo to jednak samo owe ślepe naśladownictwo przyczyniło się wielce do wytworzenia pięknego wiersza i formy, któremi się odznaczały poezye i przekłady Żukowskiego, a niemniej pod bujnem tchnieniem romantyzmu zrodzili się, szerząc wielki w swej ojczyźnie entuzyazm — znani z przekładów i w innych krajach — Puszkin i Lermontow. Obaj ci poeci nie jaśnieli prawdziwą oryginalnością torów, lecz naśladując w swych utworach Byrona i ściśle się na nim wzorując, czarowali wdziękiem swego wiersza, podnosząc go do stopnia niebywałej przedtem w ich rodzinnej mowie potęgi i siły.

Jeżeli jednak Anglia i Skandynawia odczuły na sobie silny wpływ romantyzmu niemieckiego, a Rossya pod jego tchnieniem starała się przyswajać sobie obce wzory, — natomiast w Polsce byłoby niewłaściwem przeceniać zbytecznie znaczenie, jakie mógł mieć dla niej romantyzm. Jej położenie opłakane, fatalny los dziejowy w ciągu całego XVIII. stulecia, pozbawiający ją niepodległości, musiał sam przez się obudzać w społeczeństwie krajowem zwrot ku podnietom narodowej egzystencyi, zagrożonej zniszczeniem. Siła odporności — oraz siła rzutu, tak pięknie określona przez Supińskiego [2]) — prowadziła w tym razie społeczeństwo do odszukiwania wszelkich pierwiastków, tworzących podstawę odrębnego bytu i do

---

[1]) Dziś pierwotna historya Rusi n. p. przedstawia się nam z wielu względów inaczej, aniżeli w tej postaci, w jaką ją przyodziały opracowania historyczne, oparte wyłącznie na suchych i marnych wskazówkach mnichów latopisarzy. To albowiem, czego nam owi latopisarze nie umieli wyjaśnić, wyświetlonem zostało w należyty sposób za pomocą Herwar-Sagi, Ejmund-Sagi i t. p. — Porów. w tym przedmiocie J. Bartoszewicza: O nowem wydaniu Sag skandynawskich. Biblioteka Warszawska, 1851, tom I. str. 512—533, oraz Historyę pierwotną Polski w zbiorze ogólnym dzieł Bartoszewicza, wydanym w Krakowie.

[2]) Myśl ogólna fizyologii wszechświata (tom I. zbiorowego wydania pism J. Supińskiego, Warszawa 1883).

ocenienia przeszłości, jako głównej zasady walk, staczanych przez naród z rozkładowemi siłami. Ztąd przeto pod wpływem jeszcze wszechpotężnego klasycyzmu francuzkiego wzmógł się w Polsce silny i gorący popęd ożywienia uczuć narodu wzorami wieków minionej chwały, który się ujawnił w wysoce patryotycznych utworach poetyckich, jakkolwiek utwory te nosiły na sobie ściśle klasyczne piętno. Poetami tego gorącego patryotycznego kierunku byli: Niemcewicz (w swych dramatach dziejowych i Śpiewach historycznych), Kropiński (w Ludgardzie), Wężyk (w Bolesławie Śmiałym), Feliński (w Barbarze). Przemawiali oni do serc swych ziomków uczuciem miłości kraju, a słowa ich, wypowiadane ze sceny, budziły podług sprawozdań współczesnych entuzyazm, nie dający się opisać. Na ten grunt niezmiernie podatny do kultu przeszłości padło ziarno romantyzmu, zaniesione z Niemiec. Jakiż właściwie posiew ono wydało? Mogło w pewnej mierze przyczynić się do wydajności plonu, który i bez współudziału owego ziarna rozwinąłby się prędzej lub później w moc wewnętrznej, czysto swojskiej uprawy tego obszernego pola, zlanego tak obficie krwawym potem przodków. W rzeczywistości też działania romantyzmu na polską literaturę dają się sprowadzić do kilku objawów. Zmienił on najpierw formę poezyi, uwalniając ją z więzów mody pseudoklasycznej i nadając niczem niehamowaną swobodę. Z powodu poszukiwanego do poezyi wątku w podaniach i klechdach ludowych uczynił szybszym zwrot w literaturze i poezyi do ludu, którego rzeczywista potrzeba przeczuwaną i pożądaną była przez ludzi, którzy, jak Brodziński, w epoce nadejścia romantyzmu, nie uwydatniali niczem romantycznego kierunku. Wreszcie odbił się przelotnem piętnem na utworach kilku młodych poetów (Mickiewicz, Zan, Odyniec, Witwicki). Niepodobna jednak ani Malczeskiego, ani Mickiewicza w całej jego późniejszej, nieporównanej i samodzielnej genialności, ani też całej plejady znakomitych poetów polskich doby mickiewiczowskiej, począwszy od dźwięcznego ukraińskiego lirnika, Bohdana Zaleskiego, a kończąc na poecie potężnym zarówno tonami, jak swą głęboko filozoficzną i proroczą myślą, Zygmuncie Krasińskim, — niepodobna, powtarzamy, tych wszystkich świetnych objawów poetyckiej twórczości uważać w Polsce za bujny wynik romantyzmu, dlatego tylko, że twórczość ta ukazała się wnet po zjawieniu się kierunku romantycznego. Byłoby to tem samem, jak gdybyśmy w Anglii n. p. poczytywali twórczość takiego Byrona, nieśmiertelnego piewcę i bojownika wolności, Shelleya a nawet Moore'a za bezpośrednie wyniki romantyzmu dlatego jedynie, że żyli w dobie romantyzmu i że w twórczości ich spostrzega się pewien słaby lub

mocniejszy objaw romantycznych upodobań. Tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku twórczość ta była wypływem ściśle narodowego ducha i moralnego społeczno-krajowego przysposobienia. Bez silnych pierwiastków, leżących w głębi bytu dziejowego i zespolonych z istotą społeczeństwa obu tych krajów, nie przyszłoby pod tchnieniem romantyzmu do niczego innego — krom naśladownictwa, które jest w stanie ująć słuchacza piękną formą i potęgą wiersza, lecz niezdolne jest wzmocnić w jego duszy uczuć, których pierwiastki są obce i dla niego przez to samo niezupełnie zrozumiałe.

(Ciąg dalszy nastąpi).

I. Snitko.

PAMIĘTNIK
O STROJU NARODOWYM
W RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Z nowszych dzieł podajemy:

Bogusławski (Historya Słowian, t. I. s. 125):

„Prasłowianie zajmowali się rolnictwem i gospodarstwem wiejskiem. Uprawiali wszystkie gatunki zboża, żyto, pszenicę, jęczmień, owies, proso; znali i siali bób i groch. Prócz roślin zbożowych, uprawiali chmiel, konopie i len. Orali ziemię sochą, radłem, a później i doskonalszem jeszcze narzędziem, pługiem.“

Tenże (s. 126): „Odzież prasłowianie nosili z płótna i sukna zrobioną. Pod wierzchnią suknią, zwaną ponjawą, jakiej używano i w poprzednim okresie, noszono koszule i gacie; przeopasywano się pasem; w chłodne i zimowe dnie przykrywano się kożuchem.“ (Autor powołuje się na dzieło: Szulek: *Pogled* iz biljarstwa u prawjek Slovenah, a napose Hrvatah w Rad. jugost. Akad. w Zagrebu 1877).

Kostomarow (Historya ruska w życiorysach głównych jej działaczy) na str. 2. wylicza wśród roślin zbożowych uprawę lnu i konopi, wyrób lin, żagli, płótna. Umieli robić siecie, prząść, tkać, szyć, to wszystko przed wiekiem IX.

Teodor Morawski (Dzieje narodu polskiego, t. I. str. 59) nadmienia: „Wyrazy płacić i zapłata idą podobno od płótna, najstarożytniejszego wyrobu słowiańskiego.“

I jeszcze jedno. Za Bolesława Chrobrego (wiek X.) podczas pobytu cesarza Ottona w Gnieźnie, komornicy z rozkazu króla wszystkie kotary, obrusy, ręczniki do skarbu cesarskiego odnosili. — Obrusy i ręczniki musiały chyba być lniane, a nawet odznaczające

się wyrobem; zapewne już wzorzyste, kiedy mogły uchodzić za miły dar dla cesarza? [1])

Zdaje się więc rzeczą niewątpliwą, że prasłowianie, jeśli nie w wiekach przedhistorycznych, to z pewnością przed wprowadzeniem chrześciaństwa znali płótno i nosili z niego odzienie. W drugiej połowie X. wieku zaprowadzono w Polsce chrześciaństwo, szybko szerzyły się parafie, biskupstwa, a jak wiadomo, ubranie księdza i wszystkie przybory ołtarza do odprawiania mszy świętej musiały być białe i wyłącznie płócienne. Musiała więc być łatwość zaopatrywania kościołów w te potrzeby?...

Autor, wracając do swojego przedmiotu, twierdzi więc, że Słowianie, których ziemie stały się zawiązkiem państwa polskiego, daleko przedtem płótno znali i robili; koszule płócienne nosili i że ta koszula stała się motywem do skromnego pierwotnego żupana, który, nie znosząc narodowego zwyczaju w sposobie ubrania, stał się ze względów praktycznych pożądanym. — To będziemy starali się, jeżeli nie udowodnić, to przynajmniej jako jedyne, najzgodniejsze prawdopodobieństwo wykazać.

Wniosek, tyczący się wprowadzenia tej trafnej w ubraniu odmiany, opieramy na widocznej równorzędności żupana i koszuli pod względem kroju, ustroju i sposobu noszenia. Porównajmy między sobą te dwa przedmioty, o ile były do siebie podobne i równorzędne w znaczeniu, a to nas doprowadzi niewątpliwie do poznania uderzającego stosunku i podobieństwa tych dwóch rzeczy różnego nazwiska, i da odpowiedź bardzo prawdopodobną, zkąd żupan pochodzi.

I tak:

Koszula płócienna, przez pranie ubielona, albo z płótna bielonego uszyta.

Żupan, z szarej, czy białej, konopnej czy lnianej materyi zrobiony.

Koszuli krój równy, z przodu i w plecach workowaty.

Żupana krój także równy, z przodu i w plecach workowaty: tylko więcej do ciała przystający, szczuplejszy.

Kołnierz u koszuli dawnych czasów był stojący, nazywał sie orzedle (Słownik Mrongowiusza) i dziś jeszcze u włościan często używany.

Kołnierz u żupana, jak wiadomo, zawsze stojący.

---

[1]) Szajnocha: Bolesław Chrobry. — Gloger: Księga rzeczy polskich, str. 48.

Koszula u ludu spięta pod szyją spinką z kolorowem szkłem.

Żupan pod szyją równie zapięty spinką.

Koszula od szyi prawie do pasa otwarta.

Żupan polski nie ma na piersi żadnego zapięcia, żadnych pętlic, belek lub guzów. Spięty tylko w okolicy pasa krytymi haftkami, czy żeberkami, a więc chce wyraźnie mieć pozór, że jest na piersi otwarty.

Koszula ma swój kolor gładki, naturalny. bez deseniu.

Żupan z reguły bywał zawsze z materyi gładkiej, nie wzorzystej, w jednolitym kolorze, bez deseniu, bez wszelkiej pstrokacizny. Tak było regułą do ostatnich czasów Rzeczypospolitej.

Koszula w noszeniu spuszczona po wierzchu spodni.

Żupan tak samo.

Koszula w noszeniu opasana rzemykiem, jeśli nie ma na sobie opończy lub sukmany.

Żupan opasany paskiem rzemiennym albo taśmowym, jeśli nie ma wierzchniej sukni na sobie.

Chłop w opasanej koszuli może być u siebie w domu, przy gospodarstwie, przy pracy w polu: w najświeższej jednak koszuli nie pójdzie do kościoła, ani do księdza, ani w sprawie do wójta, ani do karczmy: musi mieć na sobie w tych razach jakąś sukmanę, chociażby połataną.

Szlachcic w żupanie może być z rodziną w domu, koło gospodarstwa swojego: ale nie może w samym żupanie pójść do kościoła, wyjść na miasto, przyjąć gościa w domu, chociażby miał na sobie żupan z adamaszku i włożył pas lity; musi w tych razach włożyć kontusz albo przynajmniej kapotę na żupan.

Tak podrzędną rolę miał żupan u szlachcica, jak koszula u chłopa.

Wszystkie te znamiona są przecież uderzająco zbliżone co do rzeczywistego zgodnego znaczenia dwóch rzeczy różnych z nazwiska, a tak do siebie podobnych z kroju, wyglądu zewnętrznego, sposobu noszenia i znaczenia w pełnem ubraniu u chłopa i szlachcica.

Nie wahamy się przeto uznać, że żupan w formie i sposobie noszenia przedstawiał w narodowym stroju właściwość chłopskiej koszuli; był jej praktyczniejszym, szlachetniejszym i ozdobnym zastępcą; był zamianą odzienia, przylegającego do ciała i bardziej podlegającego zbrukaniu, na odzienie oparte na koszuli, schludniejsze, a w noszeniu wygląd zewnętrzny zupełnie zgodny ze zwyczajem stroju ludowego.

Jest rzeczą bardzo naturalną, iż żupanowie, najdawniejsi wybieralni urzędnicy gmin, kiedy nie było ni królów, ni szlachty, nie różnili się strojem od ludu, jak się nie różnią dzisiaj wójtowie lub wybrani do rad powiatowych lub na posłów do sejmu włościanie: więc wówczas, jak i dzisiaj, ci pracownicy dla dobra gminy i dygnitarze ludowi, szanowali swój strój miejscowy, rodzimy. Przez wprowadzenie tej formy odzienia niczem istota stroju ludowego nie była naruszoną. Materyał konopny czy lniany, do tej formy zastosowany, nie był zbytkiem, stał się przystępnym.

Nie wielkiego trzeba było w znanym już przemyśle tkackim postępu, ażeby zamiast równego, zwyczajnego płótna, robić z przędzy konopnej czy lnianej materyę, tak zwaną czynowatą. Wyrób tego rodzaju jest z jednej strony gładki i ma połysk jakby atłasu; dziś nazywamy to dymką; bywa ona szarą lub białą. — Wyrób taki w pierwszem swojem pojawieniu się mógł bardzo zachwycać oko i może on właśnie stał się dla któregoś z żupanów powodem do utworzenia na wzór, a zastępstwo koszuli, pierwszego, stalszego ubrania: a skoro znalazł wśród kolegów urzędowych naśladowców, to może ten wyrób stał się właśnie ową ozdobną suknią, którą — według greckiego pisarza — żupanowie byli zaszczycani? — To dla następnych wyższych władz było przykładem, wzorem i tradycyą, aż stało się zwyczajem, który szedł z dołu do góry.

Że taki szary strój, skromny dymkowy, musiał się następnie bardzo upowszechnić i przejść w późniejsze wieki, kiedy już różne stany i dygnitarstwa nastały, wnosić można z licznych wspomnień pisarzów szesnastego i siedmnastego wieku, z upodobaniem mówiących o tradycyi dawniejszych, szarych zwyczajów.

Kasper Miaskowski w zbiorze swych rytmów (1622) mówi:

Oby za miękkich jedwabiów towary,
Wrócił się ubiór pradziadów, ów szary!

Szymon Starowolski zaś w „Prawym rycerzu“ pisze: „Ojcowie nasi szarą szlachtą się zwali, iż nie używali bławatów, purpur świetnych, jako teraz zbytki niosą.“

X. Kitowicz za Sasów (!) widywał żupany konopne i pisze (t. III. s. 177): „Materya, podobna do atłasu, robiła się z włókien konopnych. — Z czasem, gdy przyszły dostatki i zakorzeniły się zbytki, powstały żupany bławatne, czerwone. Ztąd szlachtę i możnych nazywano karmazynami, a mieszczan pomniejszych miasteczek, którzy jeszcze nosili żupany z łyka konopnego, żółto gorące, nazywano łyczakami.

To znamienne wyrażenie Kitowicza, „którzy jeszcze nosili“, wskazuje na bardzo odległe jakieś czasy, w których nie znano materyi bławatnych, lecz wyroby własne konopne. Z tej materyi konopnej, „do atłasu podobnej“, robiono żupany, które „mieszczanie pomniejszych miasteczek“ jeszcze nosili, kiedy już powstały i panowały żupany bławatne.

Jeszcze za czasów Stanisława Augusta wspomina Kitowicz o białych dymkowych żupanach; a autor obecnego pamiętnika dodaje od siebie, iż w młodym swoim wieku znał obywatela Rzewuskiego, właściciela wsi Jakimowa w Galicyi wschodniej, który w domu, przy gospodarstwie i u swego stołu z rodziną, miewał biały dymkowy żupan, opasany wązkim, rzemiennym lub kałamajkowym pasem, a wcale to nie ubliżało kontuszowi, gdy go na taki żupan naprędce włożono, jeśli jaki poważniejszy gość nadjechał. Taką jest żupana tradycya i zaszczyt, pomimo jego skromnego z rodu i wyrobu pochodzenia.

Wszystko to utwierdza nas w mniemaniu, że żupan nie był do przodków naszych importowany od obcych, nie był naśladownictwem jakiegoś stroju obcego, ale był skromnym, lecz szlachetniejszym zastępcą koszuli, noszonej w sposobie narodowego zwyczaju po wierzchu spodni. Nie jest on suknią szlachecką, ale narodową, wykształconą ludową; a z tego tytułu równy zaszczyt wypływa tak dla szlachty, nieodosobnionej w stroju od ludu, jak i dla ludu, którego skromny, zwyczajowy przedmiot stał się ogólno narodowym.

W wieku czternastym — a może i później — powstały żupany bławatne, karmazynowe, lecz forma ich niezmienną została; i nie ubliżało to w niczem nawet magnatom, że obok nich szara szlachta nosiła ten rodzaj sukni z dymki konopnej lub lnianej, jako strój swojski, ludowy. Nie można jednak przypuścić, aby żupan dymkowy był późniejszym od adamaszkowego. Nie jest to bowiem prawdopodobnem, aby odzież jedwabna poprzedziła u nas płócienną; aby niezamożny szlachetka, według karmazynowego, jedwabnego żupana magnackiego, wymyślił dla siebie żupan dymkowy, a chłop żeby ustrój ten naśladował koszulą! — Nie jest prawdopodobnem, ażeby uznanie tej imitacyi przeciągało się przez wieki aż do czasów Stanisława Augusta; a nawet bez ujmy honoru i magnatowi, któryby w domu swoim używał białego żupana dymkowego. Zdaje się być rzeczą konieczną i pewną, że rzecz miała się zupełnie przeciwnie; że żupan dymkowy był pierwowzorem, że miał za sobą odległą, wiekową tradycyę przed adamaszkami, że miał powszechne

uznanie starszeństwa: i dlatego bez ujmy swojemu znaczeniu tak długo, pomimo karmazynów — chociaż nareszcie ściśle tylko jako ubranie domowe, ale zawsze pamiętne narodowe — utrzymywał się.

W dalszym ciągu naszego badania poznamy, iż nietylko żupan, ale cały strój szlachecki polski — w miarę powstawania i rozwijania się szlacheckiego stanu — wyłonił się z tych prastarych czasów swojskich. Poznamy, iż nie jest zapożyczony od obcych, nie różni się w głównych szczegółach od ludowego, ale wszystko, prócz ozdób i materyi, ma wspólne; wszystko w ubraniu aż do podkówek i wiechciów słomianych w butach zgodne z ludem i dlatego strój ten jest narodowym, nie szlacheckim.

Przystępujemy teraz do strony czysto krawieckiej, do opisania kroju i przyborów żupana. Opisanie to starać się będziemy wyrazić językiem krawieckim i z taką dokładnością, aby krawiec mógł suknię prawidłowo skroić, a właściciel jej, aby mógł ocenić, czy jest po formie zrobioną.

Przodki żupana są całkowite, bez przecięcia i szwu w pasie. Przodek wierzchni — który się dla zapięcia w okolicy pasa na drugi zakłada — ma brzeg od dołka szyi do dołu jednostajnie równy. Przodek spodni ma klapę dostateczną, aby za odchyleniem się otwartego na piersi żupana koszula nie przeglądała.

Plecy od karku do dołu jednostajne, bez przecięcia w stanie. Plecy z przodkami łączą się od pachy do kłębów; ztąd między przodkiem a plecami wstawiony klin, od kłęba rozszerzający się do dołu, ażeby sukni nadać wygodną do chodzenia kolistość. Kołnierzyk stojący, z dziurką do zapięcia spinką pod szyją. (Dziurka dla spinki zostawiona w szwie, który łączy kołnierzyk z przodkami). Rękawy z jednym szwem, równe, bez zgięcia w łokciu, wązkie przy dłoni a dla łatwiejszego wdziania w tem miejscu rozprute i opatrzone zapięciem na małe żeberka sznurkowe lub guziczki; czytelnik z tego pojmuje, że rękawy żupana nie mają mankietów.

W okolicy pasa (tylko w okolicy pasa) żupan zapinany na takie same — lecz kryte — żeberka lub haftki. Na piersiach, po wierzchu, żupan polski nie miał żadnego wyraźnego zapięcia, żadnych guzów, ani szamerowania; wyobrażał suknię od szyi do pasa, jakby otwartą, pasem tylko utrzymaną. — To jedna forma żupana.

Druga różni się tylko w kłębach, na których dają się składy, czyli fałd odwrotny, który dzisiejsi krawcy nazywają kontra-

fałdem. W tych więc kontrafałdach umieszczały się kieszenie. — To druga forma i więcej nie było.

Przybory zdobne dawały się żupanowi w sposób następujący. Kołnierzyk spięty spinką, jak kogo stać kosztowną. Od szyi do pasa żupan — tylko kantem — bywał niekiedy dla ozdoby ubrany w gęsto naszyte żeberka jedwabne lub małe bombelki koralowe albo agatowe, złote, wysadzane oczkiem turkusowem lub innem według możności.

X. Kitowicz wspomina za Stanisława Augusta:

„Dymowe białe żupany, latem od szlachty pomniejszej, dworzan i miejskiej drużyny używane, tasiemeczką wązką, jedwabną, w ząbki około kołnierza i na przedniem licu od szyi do pasa przeszytą.“

Nie dawano żupanowi żadnych belek taśmowych czy sznurkowych na piersiach. Suknia z takiem oszyciem nazywała się węgierką i nigdy przy kontuszu nie figurowała.

Na kołnierzyk żupana wykładano biały kołnierzyk od koszuli lub osobno przypięty. Taki sam kołnierzyk wykładano przy dłoni na rękawy żupana.

* * *

Żupany aż do czasu Stanisława Augusta były u koroniarzy całkowite, z jednej materyi z tyłu i na przodkach. Litwini dla oszczędności tył robili z płótna, chociażby do najbogatszego żupana. Taki żupan z płótnem w plecach miał nazwisko: żupan z fałszem.

Był jeszcze inny wymysł dla oszczędności. Ażeby żupan jedwabny a jasny nie brukał się tak łatwo przez zapinanie, więc kołnierzyk na przodzie stale opatrzony spinką, a żupan od kołnierza do pasa był na zawsze zszyty i ubrany bombelkami lub żeberkami, jak wyżej opisano. Natomiast kołnierz na karku i całe plecy płócienne były do dołu przecięte: przedstawiało to jakby fartuszek z rękawami Takim sposobem pseudożupan wkładał się na ręce, w tyle kołnierz spinał się na sprzączkę i plecy w pasie tak samo. Kontusz za to się nie gniewał, a na wygląd z przodu było wszystko, jak należy. — Przyznać trzeba, że to już oszczędność pożyczona chyba z garderoby teatralnej.

Żupan z fałdem odwrotnym na klębach, używany do chodzenia bez wierzchniej sukni w domu i przy gospodarstwie, nie mógł być z fałszem.

Kolory w żupanach były po największej części jasne, lecz zawsze z materyi gładkich, nie wzorzystych, ściśle w jednym kolorze. Oprócz materyi jedwabnych używano i wełnianych (kamłotowych), a w zimie — nie na paradę — noszono także i żupany sukienne.

Krój klinowy żupana, o którym wyżej była mowa, używany do dnia dzisiejszego w płótniankach ludowych, w białych sukmanach krakowskich a czarnych na Rusi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. Horoszkiewicz.

WOJNA GRECKO-TURECKA

w roku 1897.*)

WSTĘP.

Na horyzoncie politycznym Europy istnieją nad półwyspem bałkańskim od lat dziesiątek ciężkie, ołowiane chmury, grożące najokropniejszym może orkanem, jaki ludzkość kiedykolwiek do tej chwili nawiedził, orkanem „wojny europejskiej“.

Przed dwoma laty wojna grecko-turecka wydawała się zapowiedzią tej strasznej katastrofy; to też oczy całej Europy z trwogą spoglądały ku podnóżom Olimpu i Otrysu; dziś — na razie — niebezpieczeństwo minęło, a my ze spokojem przypatrzeć się możemy temu krótkotrwałemu krwawemu dramatowi, który na stosunki polityczne i militarne państw bałkańskich niejednokrotnie znamienne rzuca światło.

Głębszą przyczyną wojny grecko-tureckiej była bezsprzecznie tradycyjna nienawiść, którą ludy chrześciańskie półwyspu bałkańskiego od wieków do swych muzułmańskich gnębicieli żywią; niemniej żądza rozpostarcia się państewek chrześciańskich tego półwyspu kosztem znienawidzonego państwa otomańskiego.

Bezpośredni powód do wojny dały rozruchy w Armenii i na Krecie, przedewszystkiem zaś barbarzyński sposób stłumienia tych rozruchów przez rząd turecki.

Wypadki w Armenii i na Krecie wywołały wśród umysłów greckich ogromne rozjątrzenie, które do wybuchu wojny tem pewniej doprowadzić musiało, o ile że teren po temu przez tajne sprzysiężenie polityczne, „ethnike hetairia“, od dawna był w Grecyi przygotowany.

*) Do lektury koniecznem jest posługiwanie się choćby mniej dokładną mapą półwyspu bałkańskiego.

Udział poddanych greckich, później nawet wojskowych, w powstaniu kreteńskiem, poparcie powstańców licznemi ze strony rządu greckiego przesyłkami broni, amunicyi, żywności i t. p., ostatecznie wysłanie pułkownika Vassos z 2-ma batalionami i 2-ma bateryami na pomoc powstańcom (15. lutego 1897), oto były stopniowe fazy interwencyi narodu i rządu greckiego w sprawie powstania kreteńskiego, które do wojny z Turcyą koniecznie prowadzić musiały.

W Grecyi usposobienie wojenne tem żywiej się objawiało, że powszechnie obiecywano sobie poparcie słowiańskich państw bałkańskich, a może nawet pośrednią choćby pomoc którego z mocarstw europejskich. Wszystkie te nadzieje zawiodły: częścią zniweczone przez zręczność dyplomatyczną Turcyi, która w przededniu wojny, małoznaczące zresztą, ustępstwa polityczne na rzecz Serbii poczyniła, głównie jednakowoż dzięki solidarności mocarstw europejskich, które wszelkich dołożyły starań, aby wojnę zlokalizować.

ROZDZIAŁ I.

Zasoby w ogólności.

Tak więc strony wojujące ograniczyć się musiały do swych własnych sił, a naszem pierwszem zadaniem będzie zasoby obu państw porównać.

Uwidocznia to następująca tabelka, w której co do państwa otomańskiego uwzględniono tylko te przestrzenie, których środki przy przeprowadzeniu wojny w r. 1897 rzeczywiście zostały wyzyskane, t. j. Turcya europejska i zachodnia połowa Azyi Mniejszej:

Zasoby:	Turcya:	Grecya:	Stosunek T:G.
Obszar	660.000 □ km.	65.119 □ km.	10 : 1
Ludność	14,000.000 (9 mil. muzułm.)	2,430.000	5·7 (3·7) : 1
Budżet: Dochody .	18,500.000 tur. funt.	95,300.000 drachm	5 : 1
Budżet: Wydatki . .	„ „ „	93,700.000 drachm	
Budżet na wojsko l.	4,950.000 tur. funt.	16,340.000 drachm	7·7 : 1
„ marynarkę	550.000 „ „	6,950.000 drachm	2 : 1

Zasoby:	Turcya:	Grecya:	Stosunek T : G.
Stan czynny armii w pokoju	100.000	18.000	5·5 : 1
Stan czynny armii na stopie wojen.	380.000	82.000	4·63 : 1
Długość sieci kolejowej	3.470 km.	1.216 km.	2·9 : 1

Powyższa tabelka wskazuje nam olbrzymią przewagę Turcyi nad Grecyą; pod jednym tylko względem przewaga była po stronie greckiej: jej flota handlowa była i większą i lepszą, jej flota wojenna mniej liczną wprawdzie, ale lepszą; na morzu górowała Grecya.

Co do bogactwa narodowego jest wprawdzie pewna przewaga po stronie greckiej; na przebieg wojny wywarło to jednak mały tylko wpływ: główne środki wojenne, a zwłaszcza konie, i wszystkie prawie wyroby przemysłu oba państwa przeważnie sprowadzać musiały z zagranicy.

Pod względem narodowościowym przedstawia się Grecya jako państwo jednolite, podczas gdy w Turcyi przeciwieństwa religijne, narodowościowe i społeczne są źródłem nieustannych zamieszek, do których uśmierzenia, niejednokrotnie i to w czasie wojny, znaczniejszego potrzeba było odłamu siły zbrojnej.

Z drugiej strony jednak rozterki partyjne, zażarta walka stronnictw, są w Grecyi przyczyną rozstroju wewnętrznego, częstych zmian i bezsilności rządów; w Turcyi natomiast autokratyzm padyszacha zapewnia niesłusznym nawet zarządzeniom rządowym bezwzględne posłuszeństwo, co w czasie wojny pewno nie jest bez najmniejszego znaczenia.

Organizacya armii.

Zarówno w Turcyi, jak w Grecyi panuje powszechny obowiązek służby wojskowej. Trwa ona ogółem w Turcyi lat 20, w Grecyi lat 30; natomiast służba czynna tu $1^1/_2$ roku, tam 3 lata.

Niski stan czynny armii greckiej na stopie pokojowej (około 18.000) sprawia, że Grecya rozporządza małą tylko liczbą wyćwiczonego żołnierza: na 300.000 blisko zdolnych do służby, zaledwo 100.000. Brak kadrów w pokoju, niedostateczna ilość oficerów, nareszcie brak rynsztunku wojennego obniża maksymalną cyfrę armii greckiej na stopie wojennej do 82.000.

Lepiej stoją rzeczy w Turcyi: stutysięczna armia na stopie pokojowej, trzechletnie wykształcenie wojskowe, które każdy żołnierz turecki otrzymuje, wreszcie wielka staranność, jaką w Turcyi rozwój armii zawsze otaczano, umożliwia jej z samych prowincyi europejskich i z zachodniej połowy Azyi Mniejszej wystawić armię, do 400.000 głów liczącą.

Stosunek obu armii na stopie wojennej jaskrawo uwidocznia nam następująca tabelka:

B r o ń	Turcya (europejska i zachodnia poł. Azyi Mniejsz.)	Grecya
W piechocie batalionów .	328	55
W jeździe szwadronów .	76—95	15—18
W artyleryi bateryi . . .	141	26

Stan czynny batalionów i szwadronów greckich na stopie wojennej był jednak 2 razy blisko silniejszy niż w armii tureckiej.

Piechota obu armii uzbrojoną była w odtylcówki starszego systemu; artylerye posiadały armaty systemu Kruppa, odpowiadające najnowszym wymogom.

Zasoby amunicyi, środków sanitarnych, technicznych i żywności w obu armiach były w wysokim stopniu niedostateczne; z tego powodu obie armie w ścisłej pozostawały zależności od stałych swych magazynów, od których się obie na większe odległości przynajmniej bez dłuższych przygotowań oddalać nie mogły: innemi słowy obie armie do dalszej i szybszej ofenzywy nie były zdolne.

Armii tureckiej jednakowoż tradycya licznych wojen, bogate doświadczenie wojenne, a niemniej niezwykły hart i wstrzemięźli-

wość żołnierza tureckiego wychodziły na korzyść i częściowo przynajmniej wyrównywały wielokrotne braki organizacyi wojennej.

Stopień wykształcenia niemniej pozostawiał w obu armiach wiele do życzenia: tak n. p. wspólne ćwiczenia połączonych broni rzadko tylko, większe manewry nigdy, a ćwiczenia strzelania tak przy piechocie, jak przy artyleryi wyjątkowo się tylko odbywały.

Tak więc poprzedniemi słowy skreśliliśmy obraz dwu armii, które pod żadnym względem ideału nowożytnej armii nie dosiągły; Turcya jednakowoż cieszy się bezsprzecznie olbrzymią przewagą liczebną, lepszą dyscypliną i szerszem doświadczeniem wojennem, przedewszystkiem zaś tymi już wyżej wspomnianymi, cennymi przymiotami narodowymi, jako to: wstrzemięźliwością, hartem, walecznością i wyjątkową pomysłowością żołnierza tureckiego, przez co niejedne braki organizacyi wojennej stają się mniej dotkliwymi.

Mobilizacya sił zbrojnych.

Królestwo greckie dzieli się terytoryalnie na 3 okręgi dywizyjne: Larissa, Missolongi i Ateny.

Każdy z tych okręgów wystawić miał w razie wojny po jednej dywizyi, o dwu brygadach piechoty, kilku szwadronach i kilku bateryach; w pokoju ani komendy dywizyi, ani komendy brygad nie istniały.

Tajna mobilizacya rozpoczęła się około połowy stycznia 1897 roku, rozkaz mobilizacyjny wydano dopiero 13. marca.

Przebieg mobilizacyi był bardzo powolny: brak oficerów sprawiał, że licznej rezerwy wyćwiczonego żołnierza ani w połowie nie można było wyzyskać; brak koni opóźniał mobilizacyę kawaleryi i artyleryi; w połowie kwietnia posiadała armia zaledwo 3.200 koni i 800 mułów, potrzebując ich ogółem około 10.000; nie mniejsze były trudności z dostarczeniem potrzeb wojennych, zwłaszcza mundurów. Stan zmobilizowanej greckiej siły zbrojnej mógł w pierwszej połowie marca, w 2 miesiące po rozpoczęciu moblizacyi wynosić około 50.000.

Armia turecka niemniejsze przy mobilizacyi miała do zwalczenia trudności.

Terytoryum Turcyi europejskiej i zachodniej połowy Azyi Mniejszej dzieli się na trzy okręgi korpuśne: Skutari, Konstantynopol i Saloniki.

Pierwszy i drugi okręg wystawiają w razie wojny po 2 dywizye 1-ej linii (nizam) i po 4 dywizye 2-ej linii (redif); okręg Saloniki wystawia po 4 dywizye pierwszej i drugiej linii.

Komendy korpusów, dywizyi i brygad istnieją już w pokoju.

Mobilizacya armii tureckiej rozpoczęła się 15. lutego 1897 r. na wiadomość o wylądowaniu pułkownika Vassos na Krecie.

Mobilizacya była wprawdzie tylko częściową i odbywała się stopniowo, objęto nią jednak bardzo poważne siły:

Od 15. do 22. lutego zmobilizowano 8 brygad 1-ej linii i 15 brygad 2-ej linii; w marcu 2 brygady 2-ej linii, w kwietniu 2 brygady 1-ej linii i 9 brygad 2-ej linii, czyli ogółem:

5 dywizyi 1-ej i 13 dywizyi 2-ej linii, podczas gdy cała armia grecka, jak sobie przypominamy, liczyła 3 (silniejsze zresztą) dywizye.

Mobilizacya armii tureckiej natrafiała na trudności nie mniejsze od tych, które przy opisie mobilizacyi greckiej już poznaliśmy. I tu brak zasobów wojennych, wszelakiego sprzętu wojennego, a przedewszystkiem koni, niemniej brak pieniędzy dotkliwie dał się uczuć.

Energia władz, częstokroć do ostatecznej posunięta bezwzględności, wszystkie trudności pokonała: zasobów wojennych dostarczyć musiała ludność, konie kupiono za granicą (w Rossyi 3000, w Austro-Węgrzech 1600), pieniądze złożyła częścią ludność (t. zw. subskrypcya narodowa), częścią wojsko, któremu z wypłaconej ze względu na święto „ramazanu“, wyjątkowo miesięcznej płacy, 1/4 na cele wojenne zatrzymano, wreszcie rozporządzał rząd nieznacznym funduszem żelaznym; z drugiej strony w kraju za nic nie płacono, wystawiając natomiast asygnaty *à conto* przyszłych podatków.

Pomimo całej energii, pomysłowości władz, mobilizacya „pierwszego powołania“ trwała blisko miesiąc; mobilizacya kawaleryi i artyleryi, dla braku koni, jeszcze dłużej.

Największe trudności przedstawiała jednak organizacya podwódek. To też armia turecka w ciągu wszystkich operacyi odczuwała dotkliwy brak ruchomo zorganizowanych wszelkiego rodzaju zasobów wojennych; w następstwie tego zależną była w wysokim stopniu od stałych magazynów na terytoryum tureckiem i od dowozu kolejowego, nie mogła się ani szybko, ani znacznie od magazynów i linii kolejowych oddalać, jednem słowem: nie była zdolną do energicznej ofenzywy.

Teatr wojny.

Teatrem operacyi wojennych musiały być przestrzenie, położone po obu stronach granicy wojujących państw. Obszary te pokrywają przeważnie góry, sięgające grzbietami swymi przeciętnej wyso-

kości około 1000 m. nad poziom morza, przytem dziko poszarpane, skaliste, w części nagie, w części pokryte gęstymi lasami; kultura, nawet najskromniejsza, wcale prawie gór tych nie nawiedziła, brak więc osad ludzkich, mało dróg, a i te prawie bez wyjątku juczne, nareszcie w wielu miejscach brak wody.

Górami ściśnięte rozpostarły się po brzegach większych rzek dość żyzne, lecz wązkie przeważnie doliny: one to dla większych oddziałów przedstawiają jedynie możliwe pola operacyjne.

Potężny, dziki, prawie nieprzebyty łańcuch „Pindusu“ dzieli pogranicze na dwa teatra wojny: wschodni, czyli tessalski, i zachodni, czyli epirocki.

Tessalski teatr wojny przecinają najkrótsze i najlepsze komunikacye do Aten wiodące; ten teatr wojny był tedy bez porównania ważniejszy. Obie armie poznały i uwzględniły nierównomierną wartość strategiczną obu teatrów wojny: Grecy skierowali 2 dywizye ku Tessalii, 1 ku Epirowi, Turcy zamierzali tam 7, a tu 2 tylko użyć dywizye.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, doliny rzek na każdym z obu teatrów wojennych przedstawiały właściwe pola operacyjne.

Najcelniejszem polem operacyjnem na teatrze epirockim były okolice Arty, tu bowiem ze strony greckiej współdziałać mogła przemożna, jak wiemy, flota.

W Tessalii dwa pola operacyjne zasługują na szczególną uwagę: po stronie tureckiej okolice Elassony, po stronie greckiej okolice Larissy *(na załączonej mapie uwidocznione)*; oba te punkta, najdalej ku granicy wysunięte, leżą na najkrótszej i najlepszej linii operacyjnej ku Atenom.

Koncentracya sił.

Nietylko mobilizacya, ale i koncentracya armii greckiej na granicy tureckiej szła żółwim krokiem: w połowie marca zaledwo 45.000 stanęło nad granicą. A przecież warunki koncentracyi były pod każdym względem nadzwyczaj korzystne: małe terytoryum państwowe, dostatecznie rozwinięta sieć kolejowa, i — co najważniejsze, liczna i względnie dobra flota tak handlowa, jak wojenna.

Ta powolna koncentracya armii greckiej była najpoważniejszym może ze wszystkich w tej wojnie popełnionych błędów strategicznych: armia grecka miała pod względem szybkiej koncentracyi olbrzymią przewagę nad armią turecką; trzeba było z tego korzystać, prędko się skoncentrować, wkroczyć w granice Turcyi, zakłócić, może nawet

przeszkodzić koncentracyi armii tureckiej, w każdym razie pierwsze nad nieprzyjacielem odnieść korzyści; tym sposobem można było armii tureckiej dotkliwe zadać straty, ducha własnej armii podnieść, a może nawet spowodować wspólną akcyę słowiańskich państw bałkańskich.

Co do armii tureckiej, to już, jak wspomnieliśmy. jej koncentracya na poważne natrafiała trudności: rozległość terytoryum państwowego, dotkliwy brak linii kolejowych, a wreszcie niższość floty wojennej wobec floty greckiej — skąd niebezpieczeństwo transportów morskich — wszystko wielokrotnie zmuszało do długotrwałych marszów pieszych.

Konstantynopol z Salonikami jedną tylko był połączony linią kolejową, przez Dedeagač (linia ta nowa, w atlasach przeważnie jeszcze nieuwidoczniona). Stacya Dedeagač leży nad morzem, ta część linii kolejowej, przuz flotę grecką zagrożona, nie mogła być więc zużytkowaną. Dla obejścia zagrożonej części drogi żelaznej zbudowano wprawdzie prowizoryczną linię równoległą: Feredżik-Bodoma, której stan tyle jednak pozostawiał do życzenia, że ruch na całej linii Konstantynopol-Saloniki, od tej tak wadliwie zbudowanej, nie dającej się już objechać części zależny, nadzwyczaj ucierpiał: dziennie na całej linii Konstantynopol-Saloniki nie kursowało wyżej 100 wagonów.

Na wzmiankę zasługuje także ta okoliczność, że cały transport kolejowy armii tureckiej był w całem tego słowa znaczeniu w ostatniej chwili improwizowanym; o przygotowaniach w pokoju mowy nie było. Ponieważ nadto cała służba kolejowa spoczywała w ręku nielicznego i niedostatecznie wyćwiczonego personalu, ruch kolejowy nie mógł się oczywiście obyć bez najprzykrzejszych niespodzianek.

Mimo to w pierwszej połowie kwietnia udało się skoncentrować 7 dywizyi na granicy greckiej.

ROZDZIAŁ II.

Operacye na teatrze wojny tessalskim.

(Do tego rozdziału załączony plan operacyi).

Okres pierwszy (aż do zajęcia Larissy przez Turków 26. kwietnia).

Główna armia turecka, pod rozkazami Edhema baszy, w pierwszej połowie kwietnia skoncentrowaną została w okolicach Elassony. Tu stały 4 dywizye piechoty i 1 dywizya kawaleryi. Dla zabezpie-

czenia flanków tej armii stała 5-ta dywizya koło Diskaty i Greveny, 6-ta dywizya na południe Leftokaryi, u wybrzeży morza egejskiego, dla zabezpieczenia tychże przed akcyą floty greckiej. Ogółem liczyła armia turecka:

115 batalionów, 22 szwadronów i 31 bateryi, czyli około 75.000 walczących.

Siły te, jak już wyżej wspomnieliśmy, stopniowo tylko napływały na teatr wojny.

Skoncentrowanie głównej części armii pod Elassoną, na punkcie w głąb Grecyi najdalej wysuniętym, było zupełnie racyonalnem i odpowiadało ofenzywnej tendencyi armii tureckiej, wskazanej zarówno przez politykę, jakoteż przez przewagę sił. Nie zupełnie bezpiecznem było natomiast tak znaczne oddalenie dywizyi flankowych od armii głównej: wynosiło ono około 50 km., w dodatku spotęgowane tą okolicznością, że między pozycye głównej armii, a stanowisko 6-ej dywizyi wciska się niebotyczny Olimp; obu tych dywizyi mogło Turkom w walnej rozprawie zabraknąć.

Po stronie greckiej widzimy całą armię koło Larissy i na zachodniej, małej stosunkowo przestrzeni, w oddaleniu 30—40 km. od głównej armii tureckiej skoncentrowaną.

Siły greckie składały się z dwu dywizyi i liczyły ogółem:

36 batalionów, 5 szwadronów, 16 bateryi, czyli około 42.000 walczących.

Obie armie wysunęły nad granicę małe oddziały dla zabezpieczenia się przed nagłą inwazyą nieprzyjaciela. Między tymi oddziałami przychodzi do licznych utarczek, w których po stronie greckiej i ludność okoliczna, jakoteż przybyli wolontaryusze biorą udział, a które z czasem zmuszają pojedyncze dywizye na tyłach stojących armii do akcyi.

W utarczkach tych, zresztą nieznacznych, szczęście sprzyja wielokrotnie broni greckiej; w szczególności udaje się Grekom posiąść góry na zachód i na południowy zachód miasteczka Tyrnavos położone.

Dnia 17. kwietnia wypowiada nareszcie Turcya wojnę, a 18. rozpoczyna się na całej linii granicznej zażarta walka mniejszych jeszcze oddziałów, która trwa bez przerwy 27 godzin i kończy się zajęciem przez Turków wszystkich pozycyi granicznych, prócz okolic Tyrnavos.

Z chwilą wypowiedzenia wojny ze strony Turcyi, dla Grecyi szanse powodzenia zupełnie prawie znikły; dość przypomnieć sobie

stosunek sił, aby to zrozumieć: 42.000 Greków stoi naprzeciwko 75.000 Turków, którym co dnia dalsze nadchodzą posiłki.

Uważny czytelnik z pewnością zapyta: czemuż więc Grecy czekali wypowiedzenia wojny ze strony Turcyi? Bezsprzecznie był to drugi z rzędu ogromny błąd strategiczny, źródło wszystkich klęsk w ciągu całej kampanii.

Wiemy, że Grecy w połowie marca skoncentrowali nad granicą 45.000 ludzi, z czego 30—35.000 w Tessalii (mogli byli, jak to już podniesiono, mieć w tym czasie jakich 50.000 w Tessalii). Turecka armia w tym czasie nie liczyła 35.000 na tym teatrze wojny, nie była jeszcze skoncentrowaną i nie była zdolną do operacyi. Pod Elassoną stało zaledwo 20—25.000. Przedstawmy sobie w tym czasie energiczną ofenzywę armii tessalskiej w kierunku Elassony, — a do tak bliskiej ofenzywy armia grecka w zupełności była zdolną — czyli rezultat jej mógł być niekorzystnym? Nie! Siły tureckie pod Elassoną musiały być rozbite, boczne dywizye pod Greveną, Diskatą, Leftokaryą cofają się albo dzielą, później nieco los armii elassońskiej, dalsza koncentracya na tyłach jeszcze będących sił tureckich najpoważniej zagrożona, duch armii greckiej do najwyższego spotęgowany zapału — w tym wypadku cenniejszego niż dyscyplina i wprawa wojenna, których brakowało, — wreszcie obliczyć się nie dające następstwa polityczne, — oto prawdopodobne owoce wcześnie podjętej energicznej ofenzywy armii greckiej.

Zamiast w połowie marca podjęła armia grecka ofenzywę dopiero około 20. kwietnia w kierunku Deliler.

Na wiadomość o tem Edhem basza ściąga przeważną część 5ej dywizyi z Diskaty ku Davii.

W tym wypadku Turcy zaniechali skorzystać z pomyślnej dla nich sposobności: Gdyby bowiem armia turecka na wiadomość o ofenzywnym ruchu armii greckiej ku Deliler, wzmocniwszy się przez ściągnięcie 5-tej dywizyi w kierunku Elassony-Skomby (zamiast ku Davii), uderzyła na odsłonięte lewe skrzydło armii greckiej w kierunku Skomba-Tyrnavos-Larissa, armia grecka znalazłaby się była w najkrytyczniejszem położeniu; przed nią — niebotyczne skały Olimpu, na prawo — dzikie wzgórza Ossy, bałwany morza egejskiego, i bagnety 6-tej tureckiej dywizyi, na lewo i na linii odwrotu — półtorakroć silniejsza armia Edhema baszy. Jakiby był rezultat takiej sytuacyi, trudno rozstrzygnąć; wielokrotne przykłady dzikiej paniki, która prawie bez przyczyny w szeregach armii greckiej nieraz się pojawiała, każą nam przypuszczać, że armia grecka, przez Turków w ten sposób zaatakowana, zupełnemu uległaby

rozkładowi: 21. kwietnia mogła bitwa pod Tyrnavos ledwo co rozpoczętą kampanię zakończyć.

Do tego nie przyszło. Turcy, mimo swej przewagi, aż do 23. kwietnia trzymają się w defenzywie, zadowalniając się zajętymi w pogranicznych górach pozycyami.

Dnia 23. podejmuje nareszcie lewe skrzydło tureckie, 5-ta i 6-ta dywizya i to wcale ostrożną ofenzywę.

5-ta dywizya uderza na Deliler i natrafia na prawe skrzydło armii greckiej. Początkowo bitwa ogranicza się do obustronnej kanonady, w której ze strony tureckiej 48, ze strony greckiej około 20 armat bierze udział. Kanonada ta trwa blisko do pierwszej godziny popołudniu, nie spowodowując dla żadnej strony dotkliwszej straty.

Popołudniu przychodzi także do walki obustronnych wojsk pieszych. Ostatecznie Turcy ośmiu batalionami atakują Deliler i zdobywają tę pozycyę. Równocześnie walczono pod Tyrnavos, gdzie jednakowoż jeszcze nieznaczniejsze siły wzięły udział w bitwie.

Widzimy więc, że bitwa pod Deliler-Tyrnavos żadną miarą nie była wynikiem z góry obmyślanego, jednolitego planu czy to tureckiego, czy też greckiego naczelnego dowództwa; cała akcya 23. kwietnia była jedynie rezultatem mało energicznej zresztą inicyatywy podrzędnych dowódzców.

A jednak wynik walki pod Deliler nie był bez znaczenia: na wiadomość o stracie Deliler i o zagrożeniu własnego prawego boku przez ofenzywę 6-tej tureckiej dywizyi, całe prawe skrzydło greckie cofa się do Larissy.

Zdawałoby się, że Turcy wobec tego zjednoczonemi siłami energicznie uderzą na pozostałe jeszcze pod Tyrnavos lewe skrzydło greckie.

Ani mowy o tem. Naczelne dowództwo armii tureckiej żadnych nie wydaje rozkazów.

Znowu tylko dzięki inicyatywie podkomendnych, dowódzców 1-ej i 2-giej dywizyi tureckiej przychodzi 24. kwietnia do walki o pozycye pod Tyrnavos. Ze strony tureckiej walczy wprawdzie na pojedynczych pobojowiskach zawsze tylko kilka co najwyżej batalionów i kilka bateryi; Grecy jednakowoż także na żadną energiczniejszą kontre-ofenzywę zdobyć się nie umieją, tracą więc jednę pozycyę po drugiej.

Koło południa cała armia grecka jest w odwrocie z Tyrnavos przez Larissę; 3 brygady cofają się do Pharsalos, 1 pod komendą pułkownika Smoleńskiego do Velestinos.

Ten nowy podział sił greckich pewno nie był bez niebezpieczeństw; obie grupy, przedzielone wcale trudnym grzbietem Kara-Daghu, nie łatwo mogły ze sobą współdziałać; wobec tego mogła armia turecka już mieć do czynienia z 3-ma tylko brygadami greckiemi. Faktycznie wspomniane wyżej ugrupowanie armi greckiej żadnej jej nie przyniosło szkody: Turcy bowiem siły swe także podzielili, a w wywiązujących się dalszych walkach jedyna brygada Smoleńskiego kilku i to dość znacznemi poszczycić się mogła zwycięstwami.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Stan moralny cofającej się z pod Tyrnavos armii greckiej był w najwyższym stopniu opłakany. W nocy z 24. na 25-ty kwietnia wszczyna się w szeregach greckich najokropniejszy popłoch i zamieszanie; spowodował go widok własnej, zasłaniającej odwrót kawaleryi, w której widziano nacierającego nieprzyjaciela: przyszło do bezładnego ognia, którym się wzajemnie obsypywano.

Gdyby Turcy rzeczywiście energicznie byli natarli, kto wie, czy armia grecka w zupełną nie byłaby poszła rozsypkę, kto wie, czy nie byłaby się okazała potrzeba bezwzględnej kapitulacyi. Ale Turcy, którzy z niebywałem może w dziejach sztuki wojennej niedbalstwem w ciągu całej kampanii żadnych prawie nie wykonywali rekonesansów, i w tym wypadku o stanie armii greckiej żadnego prawie nie mieli wyobrażenia.

Co więcej, rozpaczliwy opór zasłaniających odwrót armii greckiej batalionów (przeważnie ewzoni, ze wszech miar doborowe wojsko), tak dalece imponował naczelnemu dowództwu armii tureckiej, tak dalece je w błąd wprowadzał, że naczelny wódz nie śmiał zarządzić ani obsadzenia Tyrnavos (wówczas już przez Greków zupełnie opuszczonego), ani Larissy.

Jedno i drugie stało się za inicyatywą podkomendnych; a kiedy nareszcie odwrót armii greckiej żadnej już nie ulegał wątpliwości, kiedy nawet tysiąc oznak wskazywało, że temu odwrotowi niemałe towarzyszyć musiało rozluźnienie w szeregach greckich, — naczelne dowództwo na nic więcej zdobyć się nie umie, jak — na przerwę dalszych operacyi, ażeby oczywiście armii greckiej czasu potrzebnego dostarczyć do przywrócenia zakłóconej równowagi fizycznej i moralnej.

Przypominamy sobie wprawdzie z opisu organizacyi armii tureckiej, że nie była zdolną do ofenzywy na większe odległości, bo jej brakło potrzebnych do tego ruchomo zorganizowanych zasobów, —

ale tu chodziło tylko o krótki, a energiczny pościg silnie rozluźnionej armii greckiej. .

Że się na to dowództwo armii tureckiej nie zdobyło, kosztowało to miesiąc jeszcze rozlewu krwi i trudów.

Tak więc 26. kwietnia następuje przerwa operacyi: główna armia turecka rozłożyła się pod Larissą, 1-sza dywizya stanęła pod Koceri dla zasłonięcia prawego boku armii, 5-ta dywizya zwróciła się ku Velestinos, przeciw brygadzie pułkownika Smoleńskiego.

(Dokończenie nastąpi).

X.

O DWORACH I DWORKACH SZLACHECKICH.

(Dokończenie).

IX.

Ileż to jeszcze z tych czasów, szczególnie tu na Rusi, widzi się usypanych rękami jeńców tatarskich i tureckich, jak ustna tradycya niesie, grobli i wałów obronnych. A w starych lasach, nim obrócono je na korczunek, można było widzieć ślady dawnej kultury rolnej. Widać, że wsie zniszczone przeniosły się na inne miejsce, a ziemia opuszczona sama się zalesiła.

Taki ślad zagonów widziałem jeszcze w okolicy Wojniłowa we wsi Dorohowie w starym lesie i pod Przemyślanami w lasach uszkowieckich. Równie często spotyka się groble wielkich niegdyś stawów, które przy dawniejszym znacznym handlu rybackim dawały właścicielom duże dochody.

Czytałem kontrakt o staw z roku 1535, gdzie szlachcic Piotr Klius w dobrach swoich Kurowice sprzedaje spust stawów, a mianowicie stawu, zwanego Dziurny, i drugiego przyległego Walentemu Augustynowiczowi, rajcy lwowskiemu, za 180 złr., zastrzegając sobie ryby do stołu na wszystkie posty [1]).

Nietylko te dawne czasy budzą naszą ciekawość i chętnie się odszukuje wszystkie pamiątki, ażeby do reszty w ludzkiej pamięci nie zaginęły, ale i to, co było w pierwszych dziesiątkach tego stulecia, zasługuje na wspomnienie, bo coraz więcej usuwa się z naszej pamięci.

X.

Zdawałoby się, że podróże swymi końmi były kosztowne, bo jechało się powoli z liczną służbą.

---

[1]) Kwartalnik z r. 1890. Władysław Łoziński.

Słyszałem jednak, że podróże mego ojca, który z Krakowskiego na Podole często jeździł i zawsze prawie z rodziną, stosunkowo do dzisiejszych cen kolei o wiele mniej go kosztowały, przy niskiej cenie ówczesnej produktów i innych artykułów potrzebnych w drodze. Pan Borkowski z Małych Zaleszczyk koło Jazłowca, jadąc do Lwowa z czterma końmi i z dwoma ludźmi, wydał, stanąwszy drugiego dnia wieczorem pod samym Lwowem w Dawidowie u swego przyjaciela Ujejskiego, dwa cwancygiery, co go gniewało, bo, jak twierdził, powinien był wydać tylko jednego.

Jakież to były miłe oczekiwania takich z daleka przybyłych gości, bo nie dało się, jak dziś, na godzinę czas obliczyć, kiedy koleją przyjadą.

Czekało się nie raz tygodniami, wyjeżdżało naprzeciwko i wychodziło, na każdy z daleka usłyszany turkot na drogę, albo na kopiec w ogrodzie, który zwykle w owe czasy był usypany w takiem miejscu, ażeby z niego był widok na daleką okolicę. Służba miała obiecane prezenta, kto pierwszy spostrzeże oczekiwanych gości i o ich przyjeździe doniesie państwu. A że na większych drogach był ruch znaczny, więc nie raz się zdarzała pomyłka, że ktoś inny przyjechał, niż był zapowiedziany — ztąd śmiech, wesołość, a czasem i gniew i płacz wskutek zawodu powstawał.

Kossowa przy swem wyniosłem położeniu miała ładny widok ze swego kopca na drogę, obok ogrodu idącą. Przy częstych wyjazdach ojca na Podole, kiedy zbliżał się termin powrotu, był przez nas dzieci oblężony, bo wszyscy się spodziewali nagrody od matki kto pierwszy wiadomość przyniesie. Kapliczka zaś, przy drodze stojąca z wizerunkiem upadającego Pana Jezusa, w porze letniej na wieczorną modlitwę przez matkę i siostry była odwiedzana, a w czasie niebytności ojca tem częściej w niej się modlono.

Jeszcze bliżej dworu, prawie jak na usypanym ręką ludzką pagórku, stała murowana kolumna, zakończona u wierzchu małą kapliczką z czterema obrazami, przy której z gościńca zwracało się do dworu. W pewne święta całe oktawy lampa się tam świeciła, a lud co wieczór na modlitwy się schodził, śpiewając pieśni nabożne. W czasie zaś odpustu 15. sierpnia w Kalwaryi, na który szły z dalekich stron procesye, była to stacya, gdzie się zatrzymywano i modlono.

XI.

Potrzeby mieszkańców wiosek były dawniej znacznie mniejsze i łatwiej się je zaspakajało. Tak dwór, jak i chłopek mniej się tro-

szczył się o powiększenie swego z roli dochodu. Dlatego i fizyognomia okolic była inna, bo niejeden wtenczas malowniczy lasek, niepotrzebny nikomu, widok upiększał i nie był obrócony na korczunek, a chłop, nie uciskany tak wysokim, jak teraz, podatkiem, był w swoich potrzebach swobodniejszym, a nawet i moralniejszym, bo nie słyszano tak często o kradzieży i morderstwie, gdyż bieda największym jest do tego motorem.

Były gminy, szczycące się tem, jak Kossowa, że nie pamiętano, ażeby ktoś był kiedy karany nietylko kryminalnie, ale i policyjnie.

Kryminały myśmy sami jako więźnie polityczni zapełniali, prześladowani za gorące patryotyczne uczucia, w których chcieliśmy lud przygarnąć do siebie.

Niestety, nie umieliśmy tego dokazać, a może ostrożnie działać, bo rząd ówczesny zrozumiał od razu, od chwili objęcia Galicyi swój interes i jako władca łatwo nas ubiegł i na swoją stronę lud przeciągnął, a myśmy tego nie widzieli i łudziliśmy się zwodniczemi nadziejami.

Prześladowanie przez wyżej pół wieku w szkole i w domu. tępienie imienia polskiego, nie zdołało nas wynarodowić. Pomimo, żeśmy nie zdołali pozyskać ludu dla siebie, zachowaliśmy całą siłę ducha narodowego i pozyskaliśmy dla naszej sprawy nawet synów tych Niemców, którzy nas chieli zgnieść i wynarodowić. Wydaliśmy nietylko ludzi, zajmujących znakomite stanowiska, jako uczeni i poeci, ale wśród ucisku wytworzyliśmy obywatelstwo, do dzisiaj w całej Galicyi ze czcią wspominane, które potem, gdy rząd wszedł na drogę konstytucyjną, dostarczyło dzielnych i rozumnych posłów do Sejmu rakuskiego.

Byli to ludzie, kierujący opinią — nic bez ich rady okolica nie robiła, kochano ich i bano się ich nagany, bo często sąd był bez apelacyi, a pomoc materyalna niejednego na nogi postawiła.

Nie mogę tu wszystkich ówczesnych powag wymienić, bo przekroczyłoby to cel i szczupłe ramy mego opowiadania, i imiona wielu z tych mężów są już w historyi tych czasów zapisane. Wymienię więc tylko tych, na których w młodości patrzyłem i o których powoli zaczyna się zapominać.

Z dawniejszych, na których wzorach drudzy się formowali, byli tu: Waleryan Dzieduszycki i Izydor Pietruski. W ich ślady dopiero szli: Kazimierz hr. Badeni, Piotr Romaszkan, a na Podolu trzej bracia Rozwadowscy, Antym Nikorowicz, Jan Fedorowicz, Leopold hr. Starzeński, Mikołaj Podlewski, Meliton Pieńczykowski

i Edward Kozicki. Są to imiona z pośród wielu a wielu innych, które w pamięci polskiej nie powinny zaginąć, jak w Krakowskiem Dominik hr. Rej, Stanisław Stojowski, Franciszek hr. Wiesiołowski, Antoni Dąbski i Wojciech Brandys, którzy, służąc wojskowo w r. 1831, nieśli życie swoje w ofierze ojczyźnie i zasłużyli sobie na cześć, jako najlepsi jej synowie.

XII.

W Tarnopolu jarmarki na św. Annę były dawniej bardzo świetne. Do pierwszych stajen zaliczano konie Michała hr. Baworowskiego i hr. Lewickiego z Chorostkowa.

Jan Lipczyński, mający zwyczaj każdemu mówić „Aspan", kupując pewnego razu konia od hr. Baworowskiego, którego nie znał, tak go tem obraził, że despota, jakim był hr. Baworowski, konia mu nie sprzedał. Gdy się o tem dowiedzieli znajomi, przedstawili hr. Baworowskiemu, że pan Lipczyński jest bardzo szanownym człowiekiem, bo należy do tych niewielu, którzy, wzięci w niewolę w r. 1809, byli skazani na śmierć przez rozstrzelanie w Stanisławowie przez jenerała Vikinga. Los go tylko od śmierci ocalił, gdy co dziesiąty z szeregu jeniec był rozstrzelany. To rozczuliło tak hrabiego, że gdy spotkali się później na Targowicy, i Lipczyński, tłómacząc się, zaczął znowu od „Aspana": Baworowski uściskał go i prosił, żeby konia stargowanego przyjął od niego w upominku.

Galicya po wojnach napoleńskich i po powstaniu w r. 1831 miała wielu zasłużonych, powszechnie poważanych ludzi, odznaczających się tak rangą, jak i wiekiem, którym rząd albo chwilowo, albo też stale pozwolił przebywać w kraju.

Gdy memu stryjowi, pułkownikowi Romanowi Wybranowskiemu, po długiem staraniu przyznano obywatelstwo austryackie, roił się dom jego naprzód w Kłodnicy pod Stryjem, a w lat kilka potem w Ostapiu, w cyrkule tarnopolskim, od ludzi, ubiegających się o złożenie atencyi obojgu zacnym gospodarstwu. Jako u człowieka, który bez majątku rozpoczynał swoją nową karyerę, dom jego odznaczał się prostotą i wielką skromnością, co nietylko nie raziło ale wzbudzało tem większy szacunek dla poważnego i zasłużonego pułkownika i polskiej niewiasty, jego żony. Wszyscy ubiegali się o ich przyjaźń i nieśli pomoc w każdej doli [1])

[1]) Autor Pamiętnika.

Wielu z tych starych weteranów i wiarusów albo zaraz osiadło na roli, albo bawiło w domach swoich przyjaciół. Ileż to osób trzebaby znowu tu wspomnieć tak, jak tu już wspomniałem dwóch kniaziów Puzynów, ażeby przekazać potomnej pamięci te piękne postacie, pełne poświęcenia, jaśniejące nieraz swojem stanowiskiem, a częściej jeszcze skromną i wytrwałą pracą, aby zarobić na kawałek chleba, czy to uprawiając rolę, czy też pracując w innym zawodzie, i nikomu nie być ciężarem.

Trudno jednak już dziś przypomnieć sobie te wszystkie szanowne imiona, trzeba choć te wspomnieć, które się lepiej znało, jak Karola Dunina, bawiącego w Lataczu a potem w Drohiczowie u znanej rodziny baronów Hejdlów, Stanisława Dunina, również kapitana, majora Bietkowskiego, majora Antoniego Roszkowskiego, majora Tadeusza Bielińskiego, kapitana Osniolskiego i Pągowskiego, oraz pułkownika Jakóba Czosnowskiego, pułkownika Piotra hr. Krasińskiego, obydwóch z wojen Napoleona, jak i pułkownika Plagowskiego z powstania 1831 r.

XIII.

Nie na samej liście weteranów potrzeba się w tem wspomnieniu ograniczyć, bo te czasy pełno postaci szanownych wydały, w różnych zawodach odznaczających się zdolnościami, sercem i sumienną pracą, więcej jeszcze umiejętnem przestawaniem na małem.

Pamiętam takiego pana Erazma Kamińskiego, męża ciotecznej siostry mego ojca, bardzo obowiązkowego i rozumnego człowieka, który, lubiąc towarzystwo, zawsze je ożywiał, i choć ciężko pracował, zawsze dla przyjaciół był wylany, trzymając się zasady, którą często powtarzał:

Nie dla siebie człowiek, lecz dla drugich żyje,
Jak my dla drugich, tak dla nas drudzy,
Jesteśmy sobie wzajemni słudzy.

O ile bardzo lubię całą naszą przeszłość, o tyle niechętnie wspominam te czasy z niej, gdzie dziadowie a nawet i ojcowie zbyt się raczyli węgrzynem, bo są to wspomnienia nie zawsze do pochwały. Był cel tylko użycia i w tej ciągłej zabawie często zapominano, że trzeba poważnie i wytrwale pracować, ażeby się utrzymać na swojem stanowisku i ziemi z rąk nie wypuścić. Nasza polska serdeczność i gościnność nie może się jednak obejść bez kieliszka,

bo kiedyż lepiej ją wylać, jak przy biesiadzie, przy naszem: „Kochajmy się!“

Wiele już o tem napisano, nie chcę iść za tym przykładem, bo pisząc o dawnych czasach i zwyczajach, nieraz już wspominałem owe libacye. Przecież dziś znowu mówiąc o tej naszej serdeczności, przychodzi mi na myśl przygoda, jaką miałem z pierwszym prawie kieliszkiem. Jest to przestroga, ażeby nigdy nie dawać słowa, że się jeden kieliszek wypije.

Przyjechawszy młodziutkim studentem do rodziny z Krakowskiego, byłem u mego kolegi, Kazimierza Wróblewskiego, w Czortkowie i ten mnie odwoził do brata. Po drodze wstąpiliśmy do pana Piotra Ujejskiego w Wasilkowcach, który miał syna Zdzisława w naszym wieku, ażeby konie popaść, z nim się zapoznać i zabrać go ze sobą do Trojanówki.

Pan Ujejski w młodości mieszkał na Mazurach, ucieszył się więc mną bardzo, nawet się rozczulił, słuchając mojego opowiadania o świeżo przebytych wypadkach, przez jakie przeszedłem w Bocheńskiem. Przy śniadaniu, bo było to rano, kiedy wódki pić nie chciałem, a podano kiełbasę, której także nie lubiłem i nawet mi szkodziła, zaproponował gospodarz kieliszek wina. Ponieważ słyszałem nieraz, jak mówiono: „Po kiełbasie napij Wasie“, chętnie przyjąłem propozycyę, nie namyślając się, bo nie przewidziałem, że może to być jakiś figiel, choć pan Ujejski zaraz mnie zagadnął: „No, dajesz więc słowo, że jeden wypijesz?“

Naturalnie z ochotą wielką przystałem, bo właśnie o to mi chodziło, ażebym nie więcej wypił. Ze zdziwieniem więc niemałem ujrzałem, jak kozaczek wniósł do pokoju z butelkami na tacy coś niezwykłego. Sądziłem, że to żart ze mnie zrobiono. Dopiero jak gospodarz napełnił całą butelką ów przyniesiony puchar i wniósł moje zdrowie w ręce Wróblewskiego, zobaczyłem, że to nie są żarty i że trzeba będzie tak samo go wypić. Przewidując, co się z nami stanie, kazaliśmy konie założyć i kiedy przyszła kolej na mnie, ażeby podziękować, zacząłem pić i chleb z solą jeść, i nim dno zobaczyłem u tego ogromnego kielicha, już mi się w oczach ściemniło. Jak potem siadłem na bryczkę i pędziliśmy bez furmana za bramę i dlaczego znaleziono mnie samego, leżącego na drodze, tego już nie wiem. Wiem tylko, że pastuchy, pasący bydło w drugiej wsi w Czabarówce, zanieśli mnie do dworu do pana Podlewskiego i tam gospodarstwo, nie mogąc się nic odemnie dowiedzieć, ułożyli spokojnie i czuwali nademną, bym przyszedł do siebie, bo byłem prawie martwy. Nastąpiło to dopiero na drugi dzień rano, że mogłem powie-

dzieć, kto jestem i kto jest powodem tego arcyniemiłego wypadku. Od tej pory już nigdy więcej nie dałem słowa, że jeden kieliszek wypiję.

Do przyjaciół pana Erazma Kamińskiego liczyło się dwóch braci bliźniaków, panów Longschanów, którzy tak byli do siebie podobni, że nigdy nie było się pewnym, czy się wita z Bogusławem, czy z Wincentym, komornikiem, szwagrem Wincentego Pola. Obydwa byli uczestnikami powstania w r. 1831 i ludźmi wielkiej prawości i gorącego patryotyzmu. Także częstym gościem bywał u Kamieńskiego konsyliarz Bazyli Lewicki, Rusin, człowiek rozumny i wysoko szanowany.

Rusini nie oddzielali się jeszcze tak, jak dzisiaj, lecz stanowili prawie jedno społeczeństwo z Polakami. Kiedy te strony poznałem, widziałem księży prawie zawsze w przyjaźni żyjących z dworem, nawet tych sztaruszków, którzy byli jeszcze ze seminaryum łuckiego.

Dlatego przyjemnie mi wspomnieć tych zacnych kapłanów, z którymi długie lata mi zeszły. Byli to ludzie nietylko żyjący z nami w dobrej harmonii, ale ludzie, dobry wpływ wywierający na swoich parafian, mało od nich za wszystkie funkcye parafialne biorący.

Pamiętam szanownego kanonika Tyszyńskiego i jego syna, Michała Hrehorowicza w Horodysławicach, Antoniego Obuszkiewicza w Szołomyi, Grzegorza Sawczyńskiego w Dźwinogrodzie, Ignacego Dudykiewicza w Chlebowicach, Bukojemskiego i wielu a wielu innych, których imiona z przyjemnością się wspomina, jako ludzi rozumnych i prawych Rusinów.

Wymownie opowiada o tych Rusinach Antoni Dąmbczański w swojej książce, napisanej w r. 1848.

XIV.

Krakowskie, bliżej zachodu leżące, wcześniej przyjęło nowe mody i zwyczaje w swoich dworach i dworkach szlacheckich. Poczęły się one coraz więcej upiększać na sposób zagraniczny, wprowadzono do nich dawanie herbat, zastawionych różnemi jedzeniami na kosztownych serwisach porcelanowych, urządzanie wieczorków z tańcami i robienie późnych wizyt w sąsiedztwie.

Powozy wiedeńskie z forderdachami, z początku tylko ze skórzanemi firankami o małych okienkach, zastąpiły dawne ciężkie

i wysokie. Powoziki zaś małe i zgrabne bryczki, zwane najdyczankami, bo w Najdyczanie były robione na parę koni, poczęły się rozpowszechniać.

Powiedziałem poprzednio o okolicy, leżącej za Skawą. Wspomnieć jeszcze muszę domy w Wadowickiem, które przodowały w mojej młodości tą modą zachodnią, jak Brody Brandysów, Barwałd Siemieńskiego i dwa domy Góreczyńskich: Brzeźnica i Nowe dwory, pełne gustu i elegancyi. Ładna wioska Mikołaj, pod samemi Wadowicami położona, państwa Maciejów Fiszerów słynęła w okolicy miłem przyjęciem gościnnych gospodarstwa.

Pani Kazimiera, umiejąca się podobać, miała roje młodzieży zawsze koło siebie. Każdy młody człowiek przechodził w tym domu jakby szkołę wyzwolenia. Jak za czasów Bolesławów król w łaźni pasował na rycerza młodzieńca, — tak w Mikołaju kochający się w pani młodzieniec był pasowany na skończonego kawalera, bo musiał przejść nietylko gorączkę miłości, ale odbyć służbę wielbiciela, to znaczy: dobrze jeździć na koniu z panią i dużo czytać, bo pani o książkach lubiła dysputy prowadzić, gdyż sama wiele czytała i sąd miała wytrawny. Wszystko to dla młodzieży było korzystne; uczono się w salonie dobrych i wytwornych manier, a rozmowa o literaturze swojej i francuskiej młodzież kształciła. Nie byli wolni od szarmanteryi i żonkosie, bo było to modą bywać w Mikołaju i mile być widzianym od pani.

Raz ktoś z dowcipnych powiedział:

— Pani jest dla męża *Fi*. a dla wszystkich *szer*.

XV.

Odmienne to były te gospodarstwa dawniejsze w Krakowskiem, jeżeli się jeszcze więcej cofniemy wstecz do trzeciej dziesiątki tego stulecia. Wszystko się odbywało innym porządkiem, niż to się teraz dzieje, bo gospodarz się musiał stosować do swoich sił roboczych, jakie miał do rozporządzenia we wsi. Pomału też się siało i zbierało i dlatego było przysłowie: „Św. Michał, kopy spychał".

Przypominam sobie dorodność ziarna, a szczególnie słomy, każdego gatunku zboża, najwięcej jednak pszenicy, której ziarno równało się wielkości dzisiejszej banatki, a słoma w prążki świeciła jak złota. Nieraz malec, robiąc z niej rurki do puszczania baniek mydlanych, bawiłem się jej grubością i gładkością, teraz już nie-

znaną. Dlatego fornale, przywożąc zboże do stodół, dobrze się uginali, podając snopy na warstwę w „sasiekach“

Kiedym jako malec poszedł szukać bławatków w życie, to skryłem się w niem, jak w lesie. W Kossowy pola, położone blisko ogrodu, co roku swoim bujnym urodzajem przedstawiały wspaniały widok. Ojciec, mając dużo łąk, część przemienił, pociąwszy rowy, na pole orne. To tak mu się powiodło, że sąsiedzi przyjeżdżali admirować owe pszenice, jakie się na tych dziewiczych łanach rodziły. Były też wszędzie pola jeszcze niewysilone. Wisła na niskiem położeniu, choć czasem zrobiła wylewem szkodę nietylko w brzegach, ale i w plonach, które zalała, to za to w roku następnym a nawet w latach późniejszych, jak Nil, swoim namułem rolę użyźniała. To samo robi i dziś Wisła, bo częściej, jak powiadają, wylewa, jednak pola wycieńczone nie tyle już jak dawniej poprawia.

Zboże wymłócone cepem, bo młocarń nie znano, było „szuflą“ przez karbowego wywiane, a potem na polskim młynku wyczyszczone. Nic więc dziwnego, że i w słomie i w plewie coś drobnego ziarna zostało. Ztąd znowu urosło przysłowie: „Dobra krowa, co się sama w domu uchowa.“ Nie wiele też i konik kosztował, wychowany na słomie i plewie.

Dorodniejsza młodzież niż dziś z łatwością młóciła, kosiła i żęła. Dawny dorodny lud tamtejszy skarłowaciał. Nie widziałem już za moją ostatnią bytnością w Kossowy po długich latach takich hożych dziewcząt i rosłych mężczyzn, jakie mi w pamięci pozostały. Gdym moje spostrzeżenia objawił staremu gospodarzowi, co razem ze mną te minione czasy pamiętał, usłyszałem od niego taką odpowiedź:

— Oj, mają Pan racyę, nie ma już tych rosłych dziewuch i chłopców, jakie były za naszej młodości, wysokie i gibkie, jak topole, ani naszych granatowych sukman i wysokich kapeluszy z aksamitką szeroką w około, chyba stary je jeszcze nosi.

Zaczepiony raz ciągnął dalej:

— Pamiętają Pan mego tatusia? Mieliśmy zagrodę i ośm morgów, którą ja odziedziczyłem. Tatuś Wojtka ożenił i dał mu spłatę, a Jagę, Zośkę i Marynę wywianował. Kiedym objął gospodarstwo, dobrze się miałem. A teraz ja siedzę przy synie, który ma już z tej zagrody tylko trzy morgi, bo z braćmi się podzielił i biedujemy wszyscy. Jak byliśmy małe dzieci, tatuś na nas nic nie dawał, a teraz dziewucha i chłopak ledwo siedm lat kończy, trzeba je porządnie odziewać, by miały w czem chodzić do szkoły w Tłuczani.

Obrazek to zwykły. Skreśliłem go jednak dlatego, że mi był podany przez starca'i, jak się sam nazwał, zagrodnika dawniej swobodnego.

XVI.

Jako obrazek z dawniejszych jeszcze czasów, mam pod ręką fasye gruntowe z 1786 r., w których rząd zapewne po raz pierwszy reguluje całą posiadłość gruntową nietylko na podstawie morgów i sążni kwadr., ale na podstawie obsiewu, a ta cała czynność w takiej się formie przedstawia:

P r a w i d ł a.

„Podług których fasyonowanie pożytku z gruntu na tem miejscu uskutecznione jest i wiele każda niwa, czyli każda część, która od drugich co do pożytku, wysiewu i wydatku ziarna jest różniąca się tak podług miary zwierzchniej płaszczyzny, jakoteż podług pożytku w ziarnie wynosi.“

Opisawszy najprzód szczegółowo granice wsi Chrząstowic. wymieniwszy wszystkie łany dworskie i role chłopskie i z nich pożytek, zamyka się ten operat taką deklaracyą stron interesowanych przez obecnych plenipotentów sąsiednich wsi Brzeźnicy i Kossowy:

„My niżej podpisani plenipotenci i przysiężni z gromad osiadłości z wsią Chrząstowicami graniczący, do pomiaru wybrani mężowie, wyznajemy niniejszem, że nam ze strony Ces. Król. Myślenickiej Rektyfikującej Komisyi zamiar publikacyi fasyi kontroli do zrozumienia oznaczony został. Gdzie my w tej mierze tak fasyą wysiewu i zbioru z każdej niwy z osobna wyraźnie i do zrozumienia nam czytane słyszeliśmy, jako też byliśmy pytani, jeżeli przeciwko sposobowi tegoż fasyonowania nie mamy co na przeciw wnosić, owszem od tejże Rektyfikacyjnej Myślenickiej Komisyi nam grożono było, że gdybyśmy przeciwko tej fasyi teraz nic nie zanieśli, tedy potem nasze jakiekolwiekbądź wnoszenia przeciwne nigdy żadną miarą przyjęte nie były, a że my przeciwko rzetelności fasyi, a mianowicie przeciwko użytkowi zbioru we wsi Chrząstowicach wyznaczonego podług wiadomości sumienia i wykonania przysięgi naszej w niektórych okolicznościach i kategoryach, aby był poprawiony pożytek, osądziliśmy, wreszcie zaś aby tak został.

Dla lepszej wiary i waloru rękami własnemi i znakiem krzyża św. podpisujemy się.“

Jak początek, tak i koniec tego ciekawego operatu uregulowania stosunków gruntowych wydał mi się interesującym i dlatego te dwa ustępy w całości przytaczam, zachowując wiernie pisownię.

Pierwej jednak w r. 1782 okazuje wykaz, że w Kossowy gromada dwudziestu jeden gospodarzy ma płacić rocznie podatku 93 zł. pol. 18 gr. W lat dziewiętnaście później w r. 1801 została sporządzona w kazdej wsi „tabula“, zawierająca szczegółowy opis każdego gospodarza. W książce takiej są wymienione tak powinności, jak i opis, w rubrykach na to przeznaczonych, czy zagroda „dworska nie zakupna“ i czy „chałupa kosztem chłopa, czy dziedzica“ jest postawiona.

XVII.

Nieraz już o to byłem upominanym i sam się z tego tłómaczyłem, a zawsze jestem niepoprawnym — bo jeden i ten sam sposób przy układaniu moich mozaik ze starych wspomnień zachowuję — że nie trzymam się chronologicznego w nich porządku, ale mieszam wypadki, ludzi i okolice kraju, o których opowiadam.

Wina to wielka piszącego, lecz trudno się jej ustrzedz, gdy pisze stary człowiek, gdy myśl wyprzedza jedna drugą, gdy pamięć często nie dopisuje, a wreszcie kieruje niewprawną do tego ręką.

Wiek mój dzieli się na dwie połowy: jedną, najpiękniejszą, bo lat dziecinnych i młodzieńczych, spędzoną w Krakowskiem, — drugą, większej połowy życia, płynącą do dziś, tu na Rusi.

Zamiłowanie zaś do starych pamiątek, do miejsca rodzinnego, do wspomnień młodości jest tak silne, że przeszło już w nałóg gadulstwa u starego człowieka.

Chciałbym wszystko ginące w ludzkiej pamięci opowiedzieć, nic nie pominąć, co warte wspomnienia, bo często nawet, choć na pozór drobny szczegół ma swoją wartość i przyczynia się do lepszego poznania życia domowego i publicznego naszych ojców i dziadów. Przy tem nietylko lud krakowski, ale i moje późniejsze stosunki, jakie zawarłem, osiadłszy tu na Rusi, tak w jeden obrazek się łączą i tak trudno mi je rozdzielić, że mimo woli tworzy się z tego wszystkiego istna mozaika zdarzeń i wypadków rozmaitych, które działy się w rozmaitych czasach i miejscach.

Aleksander Wybranowski.

KRONIKA LITERACKA.

Kijewskij Metropolit Petr Mohiła i jego spodvižniki, przez S. Gołubiewa. — Kijów 1898, tom II. in 8^{0}, VII + VI + 524 + 498.

Piotr Mohiła, wojewodzic mołdawski, syn Symeona, spokrewniony z wielu rodami magnateryi polskiej (Wiśniowieckimi, Koreckimi, Potockimi itd.), pobierający wykształcenie w Paryżu, następnie dzielny żołnierz w wojsku polskiem, który się odznaczył pod Chocimem, potem mnich w kijowskiej Pieczarskiej Ławrze, a po czteru latach gorliwy archimandryta tejże Ławry, żarliwy szerzyciel dyzunii, popierający oświatę zakładaniem szkół, drukarni, szpitali dla swoich wyznawców, nakoniec metropolita od r. 1633 kijowski dyzunicki. Wszystko to opisano w pierwszym tomie, wydanym kilkanaście lat temu; w drugim, od r. 1633—1647, opowiedziana działalność Mohiły, jako metropolity.

Pomyślnych doczekał się czasów metropolita Mohiła: ze śmiercią Zygmunta III. ubył znakomity przyjaciel unii; w czasie bezkrólewia dyzunia podniosła głowę. Władysław, uproszony od stanów, godził niby to ją z unią, ale właściwie unię dla dyzunii poświęcał. Ulegając wrzaskom stronnictwa małego wprawdzie, lecz bardzo burzliwego, psuł to, co się już na tem zrobiło polu: niektóre stolice biskupie przyznał dyzunitom i jedno (Mohylewskie) wyłącznie dla nich przeznaczył. Sądził, że dyzunię zaspokoi, kiedy im ustąpi, a nie chciał wiedzieć o tem, że agitacya schyzmy była tylko środkiem dla innych celów; gubił więc po prostu unię, a nawet czasem ją prześladował, a dyzunii ostatecznie zadowolić nie potrafił i nie zdołał, która ustawicznie krzyczała, że chce więcej, a gdy jej tego nie dawano, gwałtowała, że ją męczą...

W takich to czasach żył i działał metropolita Mohiła, psychologicznie w naszem przekonaniu niezbadany, ale autora ta kwestya, ta strona jestestwa wojewodzica mołdawskiego nie zajmowała wcale; upo-

jony powodzeniem swego bohatera, wyłącznie zwracał uwagę na jego zdobycze dla swoich współwyznawców, energiczne sprawowanie się na swojem stanowisku i zasługi takiej działalności. — Już pierwszy tom tej pracy był nader obszerny (kilkaset stron), ten jest jeszcze większy, a ma nastąpić po tym trzeci. Słowem przedsięwzięcie wielkie.

Rzeczywiście działalność Mohiły dla dyzunii jest wielkiej doniosłości. On bowiem podźwignął cerkiew ruską, wykształcił, wyposażył, zaznaczył jej drogę, po której iść powinna, wywalczył dla niej, gdy się okoliczności po temu nadarzyły, lepszą egzystencyę i pewniejszą pozycyę.

Około Mohiły skupiało się wielu ludzi, mających też same poglądy, rządzących się takiemiż maksymami, zdążając ku jednemu celowi, a wszyscy oni ustawicznie się stykali z unitami, którzy znowu bronili swoich praw i tego stanowiska, co się im już zdobyć udało, za panowania zaś Władysława IV. mało było takich — nawet pomiędzy łacińskiem duchowieństwem i senatorami katolickimi — którzy rozumieli potrzebę i doniosłość dla naszego życia społecznego unii. Otóż taki żywot Mohiły i jego współuczestników ważnym jest bardzo przyczynkiem do dziejów Kościoła unickiego, tem bardziej, że ani Likowski, ani Pełesz w swoich zresztą cennych dziełach nie uwzględnili należycie działalności Mohiły, więc praca p. Gołubiewa, chociaż on oświetla fakta historyczne po swojemu, warta jest tego, aby się z nią trochę bliżej zapoznać.

Księga ta składa się z pięciu dużych rozdziałów.

I., od str. 1—59, następującej treści: zatarg Mohiły z byłym metropolitą Izajaszem Kopińskim, przy czem autor stara się bronić Mohiłę i utrzymuje, iż potrzeba było działać energicznie w tym razie i usunąć z metropolii Kopińskiego, a środki ze strony Mohiły stanowcze stały się koniecznością. Mohiła wystawiony tu, jako rządzący się liberalizmem, t. j. że jeżeli on coś dobrego w katolicyzmie widział, to akceptował i wprowadzał u siebie, Kopiński zaś miał się odznaczać konserwatyzmem, nie dopuszczał przeto żadnych postronnych zapożyczań. W tę metropolitów zwadę wciągnięci byli różni ihumenowie, mnisi licznych monasterów, episkopi, tę lub ową stronę trzymający. Kopiński wystawiony jako człowiek chwiejnego usposobienia i niestałych przekonań, zawsze utylitarnych dla siebie, który to się z Mohiłą godził i poddawał jemu, to znowu do króla apelował, skarżąc się na nowego metropolitę i upraszając sądu na niego; król więc wyznaczał komisye dla rozstrząśnięcia tych waśni i wymierzenia sprawiedliwości. Niektórzy ihumeni także nie chcieli przyznawać z początku władzy nad sobą Mohile (n. p. monaster Pustynno-Nikolski), więc z takimi musiał metropolita duchownym i cywilnym walczyć orężem, ale wszystko

to ostatecznie tak się skończyło, jak tego pragnął Mohiła, którego zachowanie się w tych wszystkich sprawach pan Gołubiew (a jeśli ma siebie za Rusina, to Hołubiew) w zupełności aprobuje. W rozdziale tym dużo jest bardzo szczegółów ciekawych i pouczających nawet, lecz pomimo całej erudycyi autora nie powzięliśmy przeświadczenia, że Mohile żadnych nie można czynić zarzutów.

Rozdział II. od str. 60—239 da się streścić w taki sposób: Czynność metropolity Mohiły łącznie z ogólnym biegiem kościelno-historycznych wypadków, z czego wypływały dwa główne zadania: konieczność ustalenia swobody (jak oni ją rozumieli) religijnej dla swoich współwyznawców i ugruntowania jej jurydyczno-prawnego; potrzeba przyprowadzenia do porządku spraw Kościoła ruskiego i wewnętrznego uporządkowania stanu i położenia tego Kościoła. A zatem jest tu mowa o sejmie koronacyjnym z 1633 r., o ustępstwach, zrobionych dla dyzunitów, są przytoczone różne patenty królewskie, zdobycze terytoryalne i nabytki dla dyzunii, wymienione komisye w sprawie rozgraniczenia parafii i dyecezyi, opisana egzekucya uchwał królewskich, podróż Jerzego Ossolińskiego do Rzymu i stosunki owoczesne Władysława IV. ze Stolicą Apostolską, projekt zgody religijnej z r. 1636; z drugiej strony znowu uwzględniono sprzeciwianie się unitów tym nowym organizacyom i bronienie przez nich swego położenia. Dalej następuje instrukcya posłom wołyńskim na sejm w r. 1641, różne dalsze postanowienia w kwestyi kościoła ruskiego dyzunickiego, działalność przy tem biskupa chełmińskiego, Metodego Terleckiego, i przemyskiego władyki, Sylwestra Hulewicza, czynność episkopa łuckiego A. Puzyny, wreszcie krytyczny pogląd na pogłoski o rzekomej chęci Mohiły przyjęcia unii, przyczem autor przychodzi do wniosku, że metropolita nigdy na seryo nie myślał o tem. Stosunek Adama Kisiela do unii i dyzunii także nie został zapomniany, słowem, w tym rozdziale poruszono mnóstwo interesujących kwestyi, które autor obrobił szczegółowo na podstawie polskich, ruskich i rossyjskich materyałów.

Rozdział III. od str. 240—402 poświęcony dziełom polemicznym za czasów metropolity Mohiły; ponieważ te dzieła są dziś wielką bibliograficzną rzadkością, przeto ich opisanie i dokładne podanie ich treści nawet stanowią ważny i pożądany bardzo nabytek. Autor wymienia: Exegesis, to jest danie sprawy o szkołach kijowskich i winnickich przez O. Sylwestra Kossowa, drukowane w kijowskiej Ławrze Pieczarskiej w r. 1635; Paterikon, albo żywoty św. ojców pieczarskich, przez tegoż Kossowa napisane i w tymże roku w Kijowie wydane; „Τερατουργημα (Teratourgema) lubo cuda, które były tak w samym świętocudotwornym monasterze Pieczarskim, jako i obudwu świętych pieczarach“, przez O.

A. Kalnofajskiego, w Kijowie w r. 1638; Judicium, to jest pokazanie Cerkwie prawdziwej, jak dawno i od kogo początek swój wzięła i po czem ją poznać, przez jednego z zakonników reguły Basiliusza św. wkrótce wyrażone: an. D. 1638 julii 8. w monasterze winnickim brackim napisane, lecz wtedy nie było drukowane; Λίθος (Lithos) abo kamień z procy prawdy cerkwie świętej prawdziwej Ruskiej na skruszenie Perspektiwy abo raczej paszkwilu od Kassiana Sakowicza wypuszczony przez pokornego O. Euzebia Pimina, w kijow. Pieczars. Ławrze wydany w r. 1644. Tu autor nie zgadza się ze swoimi poprzednikami w tych studyach i nie przyznaje autorstwa tego dzieła Mohile, sądząc, że najwyżej zostało ono napisane za inicyatywą metropolity. Ponieważ w Lithosie poruszana praca K. Sakowicza, Perspektiwa, więc autor zdaje także sprawę o tej rzadkiej książce, a także mówi o innych Sakowicza dziełach, n. p. Problemata abo pytania o przyrodzeniu ludskim, dowodząc, że egzemplarz w Ossolineum (nr. 14.873) jest defektem i przedmowa w nim także zdefektowana. — Lithos, Perspektiwa a także Sobor kijowski schismaticki (Warszawa 1641). Zwierciadło albo zasłona O. Pachomiusza Wojny Orańskiego, posłużyły autorowi do ułożenia ustępu biograficznego Kasyana Sakowicza, który, jak wiadomo, został unitą, był opatem dubieńskim, a potem, poróżniwszy się ze starszyzną unicką, przyjął za dyspensą papieską obrządek łaciński, i będąc kanonikiem i proboszczem w Krakowie, przeniósł się do wieczności (Stebelski). W celu także biograficznym wyzyskany został 8 rozdział książki Judicium (w swoim czasie wydany i tłómaczony po rusku przez głośnego kiedyś J. Hołowackiego), gdzie są zebrane różne oszczercze historye o dygnitarzach unickich, czasem nawet niepodobne do uwierzenia, n. p. (p. 318) o biskupie unickim Pakoście, rodem z Wilna: mianowicie opowiedziano tam, „że biskup, rozgniewawszy się na swego kucharza, kazał go zabić, wyjąć z niego serce i przynieść sobie, ale zamiast kucharza, zabili psa i przynieśli biskupowi serce, które on ze złości (z jadu) w przytomności wszystkich zjadł.“ Pakosta nazwany tam władyką włodzimierskim, ale takiego biskupa nie zna ani Stebelski, ani Pełesz, chociaż u jednego i u drugiego jest wymieniony pomiędzy biskupami chełmskimi Atanazy Pakosta (1620—1626); po nim Teodor Milaszkiewicz (Stebelski), o którym jest wzmianka w Judicium, że nastąpił zaraz po Pakoście.

Rozdział IV. od str. 403—463 informuje o troskliwości metropolity o świątynie, klasztory jego pieczy poruczone. Niektóre z tych cerkwi były zupełnie opuszczone, inne strasznie zaniedbane, w ruinie nawet. Gorliwy pasterz wszystko to przyprowadził do porządku, odre-

staurował, na nowo poświęcił. Autor szczegółowo mówi o pięciu cerkwiach w Kijowie bardzo starożytnych.

Rozdział V. od str. 464—524 rysuje bardzo wiernie smutny stan Kościoła ruskiego w XVI. w. i jego moralny i intelektualny upadek, a potem przedstawia to, co metropolita Mohiła zdziałał. Autor przyznaje tu, że bractwa wiele dobrego dla tego kościoła zrobiły, ale jednocześnie bardzo słusznie powiada, że one wniosły świecki element do zarządu duchownego z wielką dla Kościoła szkodą. Następnie utrzymuje, iż hierarchia, powołana do życia na Rusi przez patryarchę Teofana, nie była w stanie zaradzić zupełnie złemu i że dopiero czyny Mohiły, mającego wysokie pojęcie o stanie duchownym i jego dla społeczeństwa znaczeniu, podźwignęły Kościół ruski. W jaki on sposób dokonał tego, autor szczegółowo o tem rozprawia i wszelkie jego reformy (protopopie, wizytatorowie, rezydenci, namiestnicy, synody prowincyonalne, objazdy eparchii, wizyty kanoniczne itd.) gruntownie rozstrząsa i szeroko o nich mówi.

Energiczne wystąpienie przeciw elektowi na przemyskie władyctwo, Janowi Popielowi, stanowcze środki użyte względem duchownych, po raz drugi żonatych, serdeczna litość dla błądzących Mohiły zostały tu należycie uwydatnione. Wreszcie wypowiada autor taką o zjednoczonym z Rzymem Kościele sentencyę (p. 619): Unia, nie ciesząca się sympatyą w większości ludności ruskiej, wprowadzona przemocą i obietnicami dóbr doczesnych, przyciągała do siebie gorszą w moralno-religijnym względzie część ruskiego społeczeństwa, a w tej liczbie i gorszych, mniej wartych, co się ich życia tyczy, kapłanów... Szeregi unickiego duchowieństwa zapełniały się zasuspendowanymi kapłanami, zbiegami z monasterów, mnichami, co się pożenili... W owoczesnych dokumentach często bardzo spotykają się wypadki, że uniccy kapłani obwiniani bywają w nader ciężkich przestępstwach: w zabójstwie, porywaniu dziewic, zrabowaniu świątyń i w ogóle w świętokradztwie, w pijaństwie, gwałtach, niedozwolonych stosunkach i t. p.

Podobnych zdań o unitach i o unii znalazłoby się i więcej; zbijać je, zdaje się nam, nie ma potrzeby: stronniczość ich jest bardzo widoczna.

Połowę prawie tej książki zajmują dokumenta, 1—498, od roku 1632—1647, podane w języku oryginałów: po łacinie, po grecku, po polsku i po rusku. Ogromna ich większość po raz pierwszy drukowana z pierwowzorów, rzadko z kopij, a jeszcze rzadziej z druków współczesnych. Różne zbiory rossyjskie rządowe, Ossolineum, muzeum Czartoryskich, archiwum bernardyńskie we Lwowie i niektóre prywatne zbiory służyły za źródło, skąd je brano. Patentów, przywilei, listów z kancelaryi królewskiej około

10; reskryptów, manifestacyi, protestacyi metropolity Mohiły prawie 20; dekretów patryarchów konstantynopolitańskich kilka; listów różnych mnichów, od bractw i w ogóle duchowieństwa owoczesnego kilkanaście; dziennik sejmowy z r. 1638 w marcu i kwietniu w Warszawie prowadzony; informacye unickim deputatom na sejm w 1638 roku we wrześniu; odezwy niektórych episkopów dyzunickich w liczbie kilku; reskrypta i listy niektórych biskupów unickich (metropolity Weljamina Ruckiego do Rafała Korsaka, swego koadjutora w Rzymie, listy w sprawie unii, protest Jeremiasza Poczapowskiego, biskupa łuckiego r. g., kilka rzeczy Metodego Terleckiego, biskupa chełmskiego, J. Makosieja Bakowieckiego, włodzimierskiego, i innych), tych jest także kilka, list kongregacyi kardynałów do Piotra Mohiły, nakłaniający go do unii z roku 1643 dnia 9. listopada; małe przyczynki do dziejów niektórych monasterów: w Hoszczy, Mińsku, Czetwertni, św. Onufrego we Lwowie, kilka kijowskich i innych; ciekawa korespondencya Mohiły z S. Kossowem; formularz wyrzeczenia się unii przy powrocie do ortodoksyi; przedruk katechizmu ruskiego, wydanego w Kijowie w r. 1645; kilka ustępów z Perspektiwy Sakowicza itd. itd.; wszystkich dokumentów 85.

Wszystkie te dokumenta zaopatrzone przypiskami, informującymi, skąd je wzięto i przy tem inne uwagi historycznej i bibliograficznej natury podane.

Korekta tego dzieła zostawia bardzo wiele do życzenia: erraty zajmują petitem cztery strony, ale jest ich jeszcze więcej. Język i styl autora dość są ciężkie; subjektywizm jego dostrzega się niemal na każdym kroku, lecz pomimo tego wszystkiego jest to praca poważna i ważna. W trzecim tomie ma być przedstawiona i rozpatrzona literacka metropolity Mohiły działalność.

Wołyniak.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

PLAN OPERACYI NA TEATRZE WOJNY W TESSALII.



BITWA POD DOMOKOS 17 MAJA 1897.

(Sytuacya o godzinie 7mej wieczór)

